

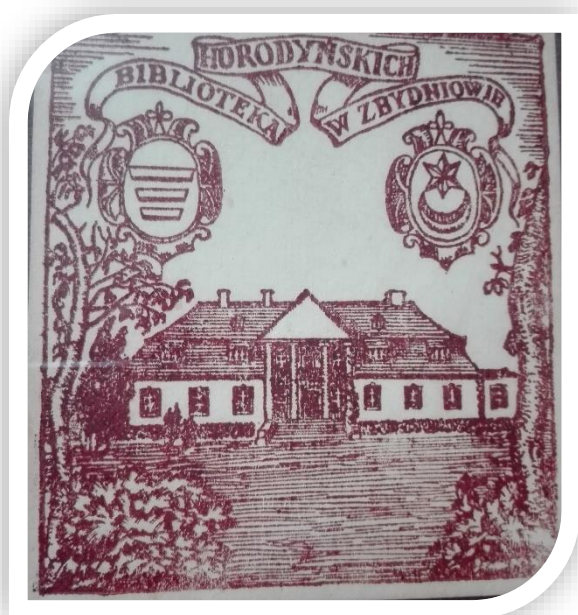
Aleksandra Krajanowska

Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Czarnieckiego w Nisku

Maciej Krajanowski

Samorządowe Liceum Ogólnokształcące im. Cypriana Kamila Norwida
w Stalowej Woli

„Odpowiedzialność spada na żywych...”



*Praca przygotowana w ramach
KONKURSU NA PROJEKT HISTORYCZNY
„PÓKI NIE JEST ZA PÓŹNO”
pod opieką:
Pani Urszuli Fedorowskiej
Pani Jolanty Łyczakowskiej*

„Gdy gaśnie pamięć ludzka, dalej mówią kamienie” - słynne słowa Prymasa Tysiąclecia, kardynała Stefana Wyszyńskiego, widnieją na jednej z tablic, znajdujących się na dziedzińcu Pawiaka. Stały się one inspiracją do napisania tej pracy. To właśnie na Pawiaku, 31 lipca 1944r., zginął jeden z bohaterów opracowania - Zbigniew Horodyński „Inio”. Wśród jego przodków żywe były tradycje walk niepodległościowych, działalności publicznej, prac społecznych. Urodził się w Zbydniowie - rodzinnym majątku. Tam spędził dzieciństwo wychowywany w atmosferze miłości i serdeczności najbliższych. Wojna rozpoczęła się wtedy, kiedy Zbigniew wchodził w dorosłe życie. Miał wybitne uzdolnienia, otwartą głowę, śmiałe aspiracje i bogate plany na przyszłość. Potrafił się bawić, uczyć, kochać, pasjonować wieloma sprawami, ale wiedział także, co oznacza patriotyzm i służba Ojczyźnie. Walka z wrogiem okazała się poważną, męską próbą sił, którą podjął bez wahania. To trudne wyzwanie podjęli także inni członkowie jego rodziny, wstępując do Armii Krajowej: rodzice – Zofia i Zbigniew, starszy brat Dominik oraz młodszy – Andrzej. Na losach całej rodziny Horodyńskich zaważyły tragiczne wydarzenia z czerwca 1943r., kiedy Niemcy napadli na dwór i zamordowali 19 osób, w tym rodziców i siostrę Zbigniewa (Inia).

Dzisiaj, dwór rodziny Horodyńskich w Zbydniowie i znajdująca się w parku mogiła, jest swoistym Miejscem Pamięci Narodowej. Stanowi część dziedzictwa kulturowego i historycznego regionu. Miejscowa ludność otacza je opieką i pamięta o tych, którzy tak wiele wnieśli w życie lokalnej społeczności. Nie zapominają także o Andrzeju Horodyńskim. Zginął w Warszawie w Akcji Pawiak i dzisiaj spoczywa na Cmentarzu Powązkowskim. Podczas tej akcji Inio został ranny. Niemcy przewieźli go na Pawiak i po ciężkim śledztwie zabili zastrzykiem fenolu. Zamordowany Zbigniew Horodyński nie ma grobu, nie wiadomo, gdzie oprawcy porzucili jego ciało.

Uważamy, że ten bohater i jego czyny muszą zostać upamiętnione, a jego nazwisko powinno się znaleźć w miejscu śmierci, na Pawiaku, póki nie jest za późno...

Praca składa się z czterech części. Pierwsza z nich prezentuje korzenie Inia. Rodzina jest tym miejscem, w którym kluczową rolę odgrywają wartości, zasady postępowania i wzory życia codziennego. Mają one zasadniczy wpływ na wychowanie młodego pokolenia, kształtują osobowość. Druga część przedstawia wydarzenia, które rozegrały się w czerwcu 1943r. i tak bardzo zaważyły na życiu całej rodziny. Kolejna część dotyczy bohatera naszej pracy, Zbigniewa Horodyńskiego oraz jego przeżyć związanych rodzinną tragedią. Na końcu znalazły się opisy akcji dywersyjnych, w których Inio brał udział.

W opracowaniu zostały wykorzystane dokumenty, pamiętniki, wspomnienia i zdjęcia, pochodzące z prywatnego archiwum rodziny Horodyńskich. Zaprezentowaliśmy również wspomnienia Zbigniewa Horodyńskiego spisane i opublikowane przez jego przyjaciela Jacka Woźniakowskiego. Wiele informacji pochodzi z artykułów Dominika Horodyńskiego, Władysława Bartoszewskiego czy Aleksandra Łempickiego. Ważne były doświadczenia, wynikające z naszego pobytu w miejscach związanych z historią rodziny Horodyńskich takich jak: dwór i park w Zbydniowie, Cmentarz Powązkowski w Warszawie, dwór w Nawojowej, Szkoła Rolnicza w Czernichowie. Nieocenione okazały się spotkania i rozmowy z Panią Teresą Ledóchowską-Horodyńską, której serdecznie dziękujemy za pomoc, udostępnienie materiałów z rodzinnego archiwum i cenne wskazówki.

**„Aby mierzyć drogę przyszlą,
trzeba wiedzieć, skąd się wyszło.”**

Cyprian Kamil Norwid

Horodyńscy to jeden z najstarszych rodów w Polsce. Informacje o tej rodzinie można znaleźć w „Herbarzu szlachty polskiej” Jerzego Jamiołkowskiego. *„Do nadań księcia Witolda z lat 1408-1430 na omawianych terenach należy wieś Horodniany, którą otrzymali prawdopodobnie wtedy bojarzy litewscy Horodzińscy, Horodeńscy względnie Horodyńscy.”*¹

O Horodyńskich pisze także w swoim herbarzu Adam Boniecki: *„Szymon, drugi syn Michała, komornik bielski 1780 r., dziedzic Siekierzyna w ziemi łomżyńskiej, zaślubił Joannę Narzymską, córkę Wojciecha i Anny z Glinków. Synowie ich: Dominik, ur. 1768 r., rotmistrz kawalerii narodowej, Wojciech i Józef. Dominika, z Kunegundy Brochowskiej syn Roch Bogusław Józef, ur. 1802 r., zmarł 1866 r. Zaślubił Teklę Wierzbicką, z której zostawił synów: Onufrego Romana Piotra i Zbigniewa Leona Dominika, dziedzica Zbydniowa w Galicji, Korczaków Horodyńskich.”*²

Dominik Horodyński (1768-1823) przybył do Zbydniowa ponad 200 lat temu. Był żołnierzem, kapitanem - rotmistrzem Gwardii Narodowej. Podczas Insurekcji Kościuszkowskiej 1794 r. był jednym z adiutantów w sztabie Tadeusza Kościuszki. Dziełem Dominika było założenie tzw. Wojska Majdańskiego ok. 1818 r. Wierzył, że bez udziału chłopów nie można odzyskać niepodległości Polski, dlatego należy nauczyć ich posługiwania się bronią. Tradycja kościelna, związana ze strażami grobowymi, stała się pretekstem i zasłoną dla utworzonej z chłopów Gwardii Narodowej im. T. Kościuszki. Członkowie oddziału uczestniczyli w ćwiczeniach wojskowych. W okresie Świąt Wielkanocnych pełnili rolę straży grobowej. Tradycja ta jest pielęgnowana w Majdanie Zbydniowskim do dzisiaj.

Najmłodszy syn Dominika, Bogusław (1802-1866), w latach 1821-1824 służył w wojsku polskim. Znany był powszechnie pod przydomkiem „Spiskowiec”. Brał udział w Powstaniu Listopadowym. *„Z końcem 1830 roku wstąpił mój Ojciec do wojska polskiego przebył całą kampanię, bił się pod Grochowem, pod Wielkim Dębem, pod Ostrołęką służąc jako porucznik, z początku w artylerii, później w Legii Nadwiślańskiej.[...] Zostawiam Wam jedno pozwolenie udania się na urlop dla poratowania zdrowia, drugie pismo zawiadamiające mego Ojca, że został podany do krzyża Virtuti Militari i ten Krzyż otrzymał. Wrócił się z drogi na emigrację, przyjechał potajemnie do Zbydniowa, gdzie mój Stryj Onufry trudził się werbunkiem ochotnika do wojska polskiego. Pomimo tego dozoru gorący patrioci zjeżdżali się często w dworze Zbydniowskim i radzili nad ratunkiem powalonej ojczyzny, szczególnie na folwarku Dzierdziówka, który leżał nad Sanem odbywały się zgromadzenia konspiracyjne.”*³

Po upadku powstania, Bogusław i Onufry byli współorganizatorami wyprawy Józefa Zaliwskiego do Królestwa Polskiego w 1833r. Uczyniono ich odpowiedzialnymi za zorganizowanie składu broni w Zbydniowie i przerzut jej przez San do zaboru rosyjskiego.

*„Kilku wraz z moim Stryjem i Ojcem aresztowano i odstawiono do więzienia do Rzeszowa, a następnie do Lwowa i tam im wytoczono proces, który się toczył około 2 lat. W następstwie skazano mego Ojca na karę śmierci, a Stryja na więzienie. Zmiana panującego w roku 1835 spowodowała amnestię, mocą której mego Ojca ulaskawiono na długoletnie więzienie w kajdanach, których ślady na nogach nieraz jako młodzi chłopcy mieliśmy sposobność oglądać i gorącymi pocałunkami okrywać. Stryj Onufry został internowany we Lwowie, gdzie też życie zakończył i tam na cmentarzu Łyczakowskim został pochowany. Po kilku latach spędzonych w podziemnych lochach Spielbergu i Kuffsteinu, z początku w kajdanach na rękach i nogach, został mój ojciec ponownie ulaskawiony i wysłany do Lublany na wygnanie.”*⁴

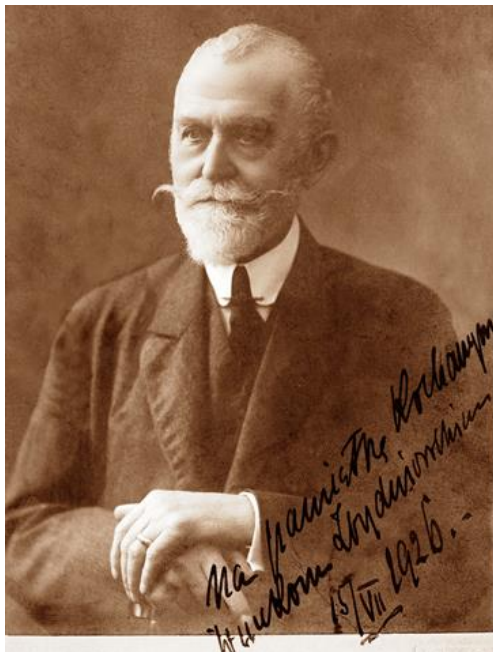
¹ J.Jamiołkowski, *Herbarz szlachty polskiej*, t.14, Warszawa 1917, s. 266.

² A.Boniecki, *Herbarz Polski*, cz. I, t. VIII, Warszawa 1904, s. 354.

³ Z.Horodyński, *Mój pamiętnik. Opowiadania o rzeczach przeżytych od 20 lutego 1851r.*, Zbydniów[mps], s.3.

⁴ *Ibidem*, s. 4.

Wrócił do Zbydniowa po dwunastu latach i niebawem znów został uwięziony pod zarzutem udziału w przygotowaniach powstańczych. W 1863r., będąc w wieku zaawansowanym, wspierał formujące się za Sanem oddziały partyzanckie i odwiedzając powstańców, woził przez zieloną granicę swojego syna. Wiele razy bryczka jadąca za San, była załadowana bronią.



Zbigniew Horodyński-Marszałek
(1851-1930)

Syn Bogusława, Zbigniew (1851-1930), wzorowo prowadził gospodarstwo. Za jego sprawą została postawiona i uruchomiona w Zbydniowie gorzelnia, tartak i młyn. Poświęcał także swój czas na działalność społeczną. Był powszechnie szanowanym marszałkiem powiatu tarnobrzesckiego (przez 30 lat), wójtem honorowym w gminie Zbydniów, przekazał w Zbydniowie plac pod budowę szkoły i przyczynił się do jej wzniesienia. Przyczynił się także do założenia kółka rolniczego, wybudowania budynku dla powołanego kółka, otworzenia czytelnicy, utworzenia straży pożarnej. Wraz z żoną własnoręcznie obdarowywał ubogą młodzież szkolną odzieżą z okazji świąt kościelnych. Przy ich wsparciu były również organizowane majówki dla uczniów. Zbigniew Horodyński to jeden z kolatorów kościoła parafialnego w Zaleszanych. Do dziś tę świątynię zdobi witraż, na którym odnajdujemy nazwisko Horodyńskich.

O zasługach Zbigniewa jako marszałka pisał Jan Słomka w *Pamiętniku włościanina*. „Dla powiatu szczególnie zasłużony jest Zbigniew Horodyński ze Zbydniowa, długoletni marszałek, który przyczynił się

wybitnie do lepszego zagospodarowania i podniesienia powiatu, a nadto odznaczał się wielką szlachetnością i godnością w postępowaniu.”⁵ Zbigniew Horodyński Był również prezesem i założycielem Okręgowego Towarzystwa Rolniczego oraz Powiatowej Kasy Oszczędności. Na jego pogrzeb przybyło ok. 10 000 chłopów i blisko 100 wójtów. Na jego grobie widnieje napis: „Żyłem - Bo chciałem. Umarłem - Bo musiałem. Zbaw mnie - Bo możesz.”

W I wojnie światowej brał udział syn Zbigniewa-Marszałka, Dominik Antoni Fortunat Horodyński (1889-1915). Zaginał w Karpatach ok. 29.03.1915 roku. W zaleszańskej kaplicy rodowej jest tablica poświęcona temu bohaterowi. Widnieje na niej napis:

Dominik Korczak Horodyński nadporucznik I Pułku Ułanów. Od 1 go sierpnia 1914 roku wytrwał bez przerwy w najcięższych trudach do dnia 29 marca 1915 roku, kiedy ranny w Karpatach zaginął.”

Ojciec Inia, również Zbigniew (1888-1943), walczył także w I wojnie światowej, początkowo jako porucznik austriacki, później żołnierz Wojska Polskiego. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę wrócił do Zbydniowa. Utrzymywał na wysokim poziomie uprawę roli i hodowlę w swoich dobrach. Zatrudniał setki ludzi do prac polowych, w hodowli, lesie, sadzie, gorzeli, młynie i tartaku. Specjalizował się szczególnie w hodowli koni oraz krów rasy czerwonej polskiej. W swojej stadninie hodował konie wyścigowe i do bryczki. Te piękne zwierzęta startowały z powodzeniem na hipodromach Polski i Europy. Jego żona Zofia, wychowywała się na Litwie. Dobrze poznała Europę Zachodnią. Znała kilka języków obcych, interesowała się filozofią, literaturą i sztuką. Po wybuchu II wojny światowej Zofia i Zbigniew zostali członkami Armii Krajowej. Utrzymywali liczną grupę krewnych wysiedlonych z poznańskiego i Pomorza oraz uciekinierów z dawnych województw wschodnich. Dwór oraz wieś pełna była zbiegów z różnych części kraju, którzy nie mieli środków do życia. Pomocą dla tych ludzi zajmowała się pani Zofia Horodyńska, ciągle brakowało jednak pieniędzy.

„Dom państwa Horodyńskich był szeroko otwarty, gościnny, kipiący życiem i radością. Pan Zbigniew Horodyński – pełen inicjatywy, niezmordowany, świetny gospodarz, zawołany hodowca, jeździec i myśliwy. Wśród licznych rozjazdów, znajdował czas na poważne książki i muzykę. Robota

⁵ Słomka, *Pamiętniki włościanina*, Warszawa 1983, s. 195.

palila mu się w rękach. Gospodarstwo musiało podolać wielu obowiązkom – jawnym i tajnym. Wsie okoliczne pełne były wysiedlonych, których trzeba było nakarmić i напоić. Znał wszystkich, interesował się wszystkim, zawsze gotowy do rady i pomocy. Dla obozów odchodziły nieustannie dziesiątki paczek. Co miesiąc poważna suma wpływała do Komendy Inspektoratu; na broń, na rodziny poległych i uwięzionych. I jeszcze: dom wypełniony po brzegi. Któż nie znał wówczas w każdym dworze tych świeżo upieczonych „krewnych”, albo „kwalifikowanych” pracowników: ludzi walczących i ludzi szcztutych przez gestapo, znajdujących schronienie pod tym samym dachem, pod którym sadowiły się kwatery niemieckie?”⁶

Zofia i Zbigniew doczekali się czwórki dzieci: trzech synów – Dominika, Zbigniewa, Andrzeja i córki – Anny. Rodzice bardzo dbali o ich edukację. „Zgodnie z obyczajem w tym środowisku uczyłem się długo w domu mając stałego nauczyciela i co roku zdając egzamin w szkole powszechnej w Zbydniowie.”⁷



Dominik, Andrzej i Zbigniew-Inio

Najstarszy syn, Dominik Zbigniew Hipolit Krystyn (1919-2008), po zdaniu matury w 1937 r. zapisał się na wydział prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Naukę przerwała agresja Niemiec. Pierwsze miesiące okupacji Dominik spędził w Zbydniowie. W 1940 roku stał się członkiem Związek Walki Zbrojnej, a następnie, Armii Krajowej. Jego przełożonym był ppor. Julian Bekiesz. W listopadzie 1941 r. z ramienia Wydzielonej Organizacji Dywersyjnej KG ZWZ został skierowany wraz z Andrzejem Karasińskim „Bojar” na wyjazd rozpoznawczy do Wilna i Mińska Białoruskiego. Wiosną 1942 roku trafił na kurs Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty ZWZ AK. Po skończeniu podchorążówki, wiosną 1943 roku został skierowany do Uderzeniowych Batalionów Kadrowych AK. W tym czasie posługiwał się pseudonimem „Wileński” oraz „Karol”. W sierpniu 1943 roku powrócił do Warszawy i dowiedział się o zbrodni dokonanej przez Niemców

na swojej rodzinie. Przeszedł wówczas załamanie nerwowe. W sierpniu 1944r. po wybuchu Powstania Warszawskiego został mianowany adiutantem Jana Mazurkiewicza „Radosława”. Pod koniec sierpnia dostał rozkaz przekazania informacji majorowi „Okoniowi”. Przedostał się więc do Kampinosu, a po upadku powstania do Krakowa, gdzie doczekał wyzwolenia.

Najmłodszy syn państwa Horodyńskich, Andrzej Józef Bogusław (1923-1944), w momencie wybuchu wojny miał 16 lat. Niedługo potem rozpoczął kursy przewidziane programem podchorążówki. Na ręce por. Juliana Bekiesza, komendanta miejscowej placówki ZWZ, złożył przysięgę i przyjął pseudonim „Pożoga”. Jesienią 1940 r. został uczniem Państwowej Wyższej Szkoły Rolniczej w Czernichowie. Egzamin końcowy zdał w czerwcu 1942 roku przed Komisją Państwową i uzyskał tytuł technika rolnego. „Szkoła w Czernichowie odpowiadała poważnym zainteresowaniom Andrzeja. Zarówno przez swą atmosferę patriotyczną, jak i przekazywanie najcenniejszych wartości pracy w rolnictwie i leśnictwie oraz poczucia odpowiedzialności społecznej za tę dziedzinę, którą dziś nazywamy ochroną przyrody i środowiska.”⁸

Po ukończeniu szkoły powrócił do Zbydniowa, aby pomagać ojcu. W 1943 roku rozegrały się tragiczne wydarzenia tzw. „Nocy Kupały”, które zaważyły tak bardzo na dalszych losach rodziny Horodyńskich. Cudem uratowany Andrzej, wraz z bratem Zbigniewem, dotarł do Warszawy. Bardzo przeżywał, to co się stało. Nigdy nie pogodził się ze śmiercią rodziców i siostry, i z tym, że zostali tak okrutnie zamordowani. Momentami był bliski samobójstwa. Po kilku miesiącach pobytu w Nawojowej koło Nowego Sącza opanował swoje emocje i w pewnym stopniu odzyskał równowagę psychiczną. Wrócił do Warszawy i dzięki pomocy Zbigniewa dostał się do oddziału Kedywu „Osjan”.

⁶ J. Woźniakowski, *Ze wspomnień o przyjacielu*, „Tygodnik Powszechny”, 1947r., nr 9, s.8.

⁷ D. Horodyński, *Wspomnienia* [w]: Zygmunt Ryszard Smirtha-Kami(e)ński, *Ku chwale Ojczyzny*, Warszawa 2003, s.8.

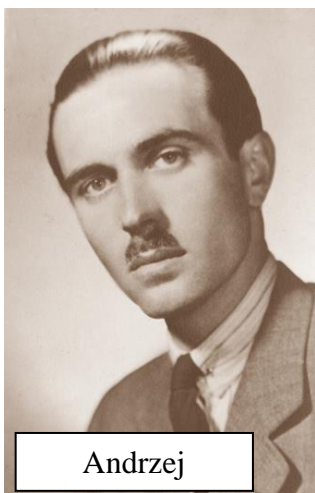
⁸ D. Horodyński, *Wspomnienia o bracie Andrzeju* [w]: *Szkoła Rolnicza w Czernichowie – Wychowankowie – Andrzej Horodyński*, s. 279s. 280.

19 lipca 1944 roku wziął udział w swojej pierwszej i ostatniej akcji na Powązkach. Odznaczono go pośmiertnie Krzyżem Walecznych.

10.06.1929 roku urodziło się najmłodsze dziecko Zofii i Zbigniewa - Anna Maria Małgorzata Horodyńska. Zginęła podczas tragicznej nocy świętojańskiej w wieku 14 lat.



Dominik



Andrzej



Haneczka

Rodzina Horodyńskich utrzymywała rozległe kontakty towarzyskie. Świadczyło to o ich pozycji w społeczeństwie. Spotykali się często ze swoimi bliskimi sąsiadami – Lubomirskimi z Charzewic, Horochami z Wrzaw, Tarnowskimi z Tarnobrzega, Sokołowskimi z Łoniowa, Tyszkiewiczami z Kolbuszowej oraz wieloma innymi przedstawicielami polskiego ziemiaństwa. Bardzo ciekawe jest zdjęcie, które zachowało się w rodzinnym archiwum. Przedstawia ono ostatniego właściciela Zbydniowa w towarzystwie znanych w Polsce osób. Znajdują się na nim od lewej: major Henryk Dobrzański „Hubal”, Zbigniew Horodyński, pułkownik Tadeusz Lechnicki, Roman Potocki.



Jacek Woźniakowski, przyjaciel Inia, który odwiedzał wielokrotnie Zbydniów, zapamiętał panującą we dworze szczególną atmosferę. „Praktykanci i wysiedleni, fotografie z konkursów hipicznych, pęki stiuków i szpicrut w hallu, pisma fachowe, książki – przeważnie z zakresu historii, jeszcze gdzieś przedwojenne naboje do strzelb, w pokoju Inia sztalugi, płótna farby. Intensywna praca od rana przeplatana wybuchami gwarnej wesołości, kiedy wszystkich – z folwarku, z pola, od sztalug i książek – skupiały dokoła długiego stołu posiłki, pod baczным okiem cichej i mądrej pani domu. Taki został mi w oczach Zbydniów.”⁹

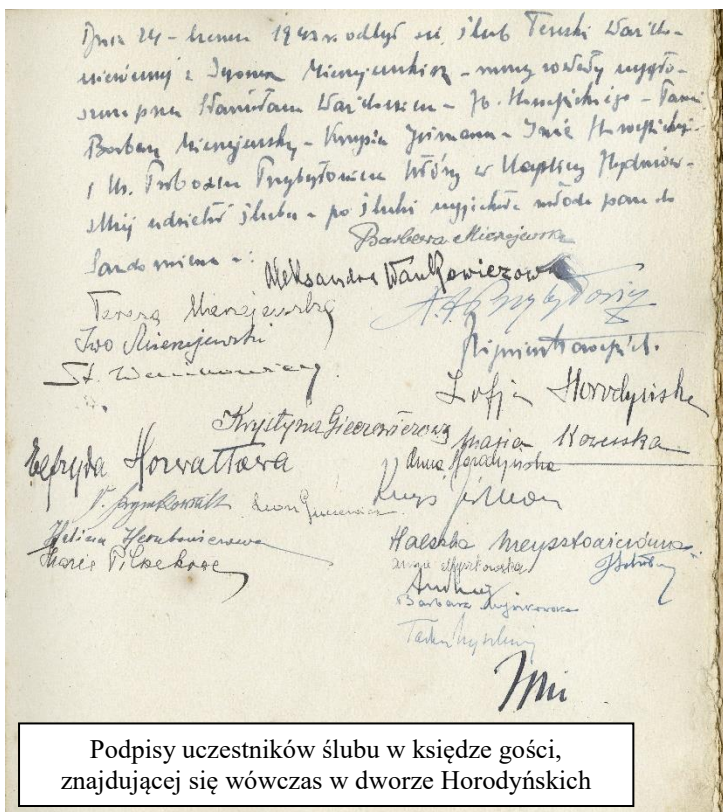
⁹ J. Woźniakowski, *Ze wspomnień o przyjacielu*, „Tygodnik Powszechny”, 1947r., nr 9, s.8.

TRAGICZNA NOC KUPAŁY

„Oddzielili cię, syneczku,
od snów, co jak motyl drżą.”

K.K.Baczyński

W 1943r. w zbydniowskim dworze rozegrały się dramatyczne wydarzenia. Sprawcą tragedii był Martin Fuldner (Fullner). Zarządzał on z ramienia Niemców, jako Trauhänder (pełnomocnik), dobrami Lubomirskich w Charzewicach. „Fuldner upatrzył sobie Zbydniów, spory i doskonale zagospodarowany majątek z dużym dworem, a poza tym miał specjalny apetyt na piękne konie miejscowej hodowli i bardzo cenne zbiory porcelany. Tymczasem wojna się przedłużyła, a trzeba było się liczyć z konkurencją innych amatorów – lepiej zrobić fakt dokonany, wziąć Zbydniów w zarząd, porcelanę wysłać do domu, a końmi skutecznie handlować.”¹⁰ Nie mógł jednak przejąć majątku pod pozorem niskiej produkcji rolnej (w stosunku do wyznaczonych przez Niemców norm), tak jak uczyniono z innymi majątkami polskich właścicieli). Zbigniew Horodyński był świetnym gospodarzem. Produkcja Zbydniowa przewyższała normy, więc formalnie jego majątek nie podlegał rekwizycji. Jednak Fuldner postanowił opanować go za wszelką cenę. W realizacji powyższego zamiaru uczestniczyła kompania pancernego pułku grenadierów SS pod dowództwem Hauptsturmführera Ehlersa, która wkroczyła do akcji pod pretekstem walki z partyzantką.



Podpisy uczestników ślubu w księdze gości, znajdujących się wówczas w dworze Horodyńskich

„24 czerwca 1943 r. w dzień Bożego Ciała odbył się w kaplicy przydworskiej ślub naszej 17-letniej kuzynki Teresy Wańkowiczówny z Iwonem Mierzejewskim, kolegą naszego brata Zbigniewa z gimnazjum jezuitów w Wilnie. Żadnych gości ani większego przyjęcia nie było. Po południu młoda para wyjechała w podróż poślubną, jak przystało na wojenny czas podróż niedaleką, do położonego o 15 km Sandomierza.”¹¹ Sakramentu małżeństwa udzielił młodym proboszcz zaleszańskej parafii, ks. Jakub Przybyłowicz.

Podczas posiłku niemieckie auto wjechało do parku, objechało gazon i zniknęło. Incydent ten był zwiastunem zbliżającego się nieszczęścia. Wtedy Inio wstał i wznosił toast: „Siedzimy przy stole i wyobrażamy może, że dzisiejsze wesele, to – bodaj chwilowa – nasza rzeczywistość. Musimy sobie zdać sprawę, że tak nie jest.

Rzeczywistość ukazała się nam – przez sekundę – za oknem. Nie wolno nam o niej zapominać.”¹²

Zbigniew miał rację. O północy rozpętało się piekło. Wydarzenia następnych dni znamy właśnie z relacji Inia. Wspomnienia naocznego świadka najlepiej oddadzą tragizm tamtych wydarzeń:

„24 czerwca zjechali się do Zbydniowa goście na ślub kuzynki naszej Teresy Wankowiczówny z Iwonem Mierzejewskim. Było nas razem 18 osób. A więc moi rodzice, Andrzej, Haneczka i ja, wujostwo Wańkowiczowie z Teresą, pani Mierzejewska z synem Iwonem, pani Herubowiczowa z synem z pierwszego małżeństwa Czesławem Jeśmianem, siostra mojego ojca Maria Kowerska, której mąż Stanisław Kowerski z Zamościa zginął w Oświęcimiu, ciotka Krystyna Giecowiczowa

¹⁰ Wyjątki ze wspomnień pamiętnikarskich Józefa Horocha [mps], Dostępny w Archiwum Rodziny Horodyńskich, s.2.

¹¹ D.Horodyński, *Wspomnienia o bracie Andrzej, op. cit.*, s.280

¹² J.Woźniakowski, *op. cit.*, s.8.

z 12-letnim synkiem, Lolusiem, Halszka Meysztowiczówna oraz sąsiedzi pp. Erazm Mieszczański i Jan Sokołowski. Ślub odbył się rano w kaplicy koło dworu. W czasie śniadania, w smutnym nastroju, który z niewytłumaczonych powodów wszystkim się udzielił, piliśmy zdrowie państwa młodych. Wzniósłem toast „Kochajmy się”. Dobre wino – wyciągnięte na tę okazję- zrobiło swoje. Humory poprawiły się. Nagle przed domem zjawiał się samochód terenowy SS z wmontowanym karabinem maszynowym, z którego żołnierz niemiecki puszczał w powietrze krótkie serie. Zaniepokojeni tą niezwykłą wizytą wybiegliśmy na ganek. Ojciec zapytał oficera siedzącego w samochodzie o powód strzelaniny. Niemiec odpowiedział śmiejąc się, że pokazuje maszynowy karabin szybkostrzelny ze specjalną amunicją. Krótką chwilę rozmawiał z ojcem, po czym samochód objechał gazon i znów padło kilka strzałów. Jak się później okazało, było to specjalne SS Jagdkommando, wysłane na pacyfikację okolic nad Sanem. Incydent ten zwiększył nasz poprzedni nastrój niepokoju. Zastanawialiśmy się, co miała na celu ta wizyta Niemców. Mogło ją spowodować liczne zgromadzenie. Może Niemcy, którzy zawsze niechętnie patrzyli na skupiających się Polaków, chcieli przy okazji sprawdzić liczbę osób, ojciec bowiem dla uniknięcia możliwych nieprzyjemności, uprzedził miejscowego Landrata o mającym się odbyć ślubie, a nawet podał liczbę spodziewanych gości.



Goście weselni przed zbydniowskim dworem

Po śniadaniu udaliśmy się na górę, na kawę, po czym państwo młodzi poszli do swoich pokojów, by przygotowywać się do wyjazdu do Sandomierza, naznaczonego na piątą po południu. Pp. Sokołowski i Mieszczański powrócili do niedalekich Gorzyc, a my zasiedliśmy do brydża. Nadszedł wieczór.

Koło dziesiątej wieczór w domu zapanowała cisza. Poza Andrzejem i mną wszyscy byli w łóżkach. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Nie otworzyliśmy, tylko stanęliśmy z ojcem w oknie. Zaczęła się rozmowa podobna do poprzedniej. Teraz jednak nieznanymi przybrali ton agresywny i pełen pogroźek. Byliśmy pewni, że coś się gotuje. Andrzej i ja wiedzeni instynktem, nie położyliśmy się spać. Byliśmy ubrani. Milczeliśmy, ale czuliśmy, że stanie się coś strasznego. Czekaliśmy niedługo. W niespełną godzinę ktoś zaczął z całych sił walić do drzwi. Ciotka Kowerska otworzyła drzwi. Na progu stali esesmani. Krzyczeli:

- Jesteście wszyscy aresztowani za współpracę z bandytami, wszystkim wam należy się śmierć!

- Na śmierć jestem zawsze przygotowana – odpowiedziała ciotka.

Rozległ się strzał, ciotka upadła na progu domu. Trudno mi opisać, co się działo później. Słyszałem krzyki i strzały: serie z pistoletów maszynowych, z karabinu maszynowego, a potem pojedyncze strzały.

Jeśmian uciekł na dach przez górny taras. Leżał nieruchomo na szczycie. Zestrzelono go z karabinu maszynowego.

Andrzej i ja wyskoczyliśmy z naszego pokoju. Na korytarzu zatrzymała nas matka.

- Chowajcie się – szepnęła i popchnęła nas na stryszek ukryty w końcu dużego strychu.

Na tym stryszku przechowywane były futra, srebro i różne wartościowe rzeczy. Potem pomału zamknęła za nami drzwi. Przeszła zaledwie kilka kroków; została zabita kilkunastoma kulami. Liczbę kul mogłem sprawdzić w cztery dni później, gdyż szlafrok leżał na tym samym miejscu, gdzie matka upadła.

Andrzej i ja z wielkim wysiłkiem oderwaliśmy trzy deski z podłogi i wsunęliśmy się między podłogę strychu a powałę. Potem ostrożnie zasunęliśmy deski za sobą, przytuliliśmy się do siebie, leżąc między legarami, do których deski były przybite. Tak trwaliśmy bez ruchu, nie oddychając zamienieni w słuch. Słyszeliśmy krzyki, strzały, padanie ciał. Z tego, skąd krzyki dochodziły, zrozumiałem, że Halszkę Meysztowiczównę zastrzelono na schodach, wuja Stanisława Wańkowicza – w łóżku, ciotkę Aleksandrę Wańkowiczową raniono, słyszeliśmy jej głos, gdy wołała, że jest ranna, po czym nastąpiły strzały i zaległa cisza. W pokoju sypialnym zastrzelono Krystynę Giecewiczową i jej 12-letniego synka Lolusia.

Nie wiem ile czasu minęło, gdy raptem usłyszałem kroki dwóch ludzi chodzących po strychu – stanęli nad naszą kryjówką. Zaczęli przewracać rzeczy schowane na strychu. Postali i zeszli na dół. Po chwili z dołu, z hallu posypała się seria strzałów w kierunku naszej kryjówki. Jedna kula lekko drasnęła mnie w ramię, inne zahaczyły tylko o moje ubranie, przestrzeliwując rękaw koło łokcia. Andrzej nie był ranny. Teraz znów zaległa cisza.

Wkrótce jednak po raz drugi odzywają się kroki na strychu. Jedne są głośne, drugie ciche skradające się. Wstrzymując oddech, nasłuchujemy. Ciężkie kroki schodzą na dół, widocznie drugi Niemiec został na czatach. Zapewne podejrzewali, że ktoś skrył się na strychu i przypuszczali, że po seriach z pistoletu maszynowego jest ranny i będzie jęczał. Później zrozumiałem przypominając sobie urywki rozmów między Niemcami, w jakim kierunku szły ich podejrzenia: liczba łóżek zasłanych na noc nie zgadzała się z liczbą zabitych, brakło dwóch ludzi. Niemcy chcieli dostać ich w swe ręce, gdyż oni byli świadkami masowego mordu.”¹³

Zbigniew i Andrzej po opuszczeniu Zbydniowa udali się do Kotowej Woli, do gajowego - Franciszka Ideca. Kilka dni później otrzymali karty rozpoznawcze na fałszywe nazwiska i wyjechali do Warszawy, gdzie trafili w ręce przyjaciół.

Następnego dnia po mordzie Fuldner przyjechał do Zbydniowa celem zabezpieczenia pozostałego mienia. Do pomocy wyznaczył swojego ogrodnika, Józefa Woźniaka, jak się później okazało, członka Armii Krajowej. „Przed głównym wejściem zobaczył Woźniak żarzącą się stertę spalonych rzeczy. Ściany i odrzwia postrzelane. Krew na schodach.... Wewnątrz meble były połamane, książki z pólek na ziemi, pełno rozbitej porcelany i szkła, ślady rozbitych o ścianę butelek wina. Podłoga mokra od wina i krwi... Wielkie łóże z kolumnami w głównej sypialni połamane. Widać było, że ktoś tu walczył. W sypialni gości strzelano w łóżkach – pościel zakrwawiona, smugi krwi na podłodze od łóżka do drzwi i na schody, po których wleczono zabitych”.¹⁴

Kilka dni po morderstwie w pomieszczeniach dworu był doktor Eugeniusz Łazowski: „Dwór był pusty. Weszliśmy do środka. Podłogi już były z grubsza zamiecione i umyte. Niewiele zmniejszyło to grozę zniszczeń. [...] Piękny hall z kolekcją starej broni na ścianie. Naprzeciwko półki z wartościowymi książkami. Wytworny salon, obrazy, dywany, antyki... Wszystko w tragicznym nieładzie, rozrzucone i pogruchothane. Przed głównym wejściem – stos popiołu i niedopalonych szmat. Poszliśmy w stronę zbiorowej mogiły. Ziemia była już wyrównana. Towarzysz ostrzegł nas, że grób może być podminowany. [...] Pod stajnią stała ogrodowa platforma. Tą platformą wozili Niemcy pomordowanych do wspólnego grobu. Jeszcze nie była obmyta z krwi, obsiadły ją roje much i os.”¹⁵

¹³Zbrodnia w Zbydniowie, „Tygodnik Polski”, Warszawa 14.04.1985 r., rok IV nr15(127), s.13.

¹⁴ E. Łazowski, *Prywatna wojna*, Stalowa Wola 2000, s.215.

¹⁵ Ibidem, s.215-216.

Pozostałością po tych tragicznych dniach jest mogiła, znajdująca się wśród drzew w przydworskim parku. Zostali tam pochowani członkowie rodziny Horodyńskich, ich znajomi oraz służba, wszyscy zamordowani przez hitlerowców. Ten niewielki cmentarz okala niski mur z piaskowca. Na marmurowej płycie znajduje się mur z krzyżem. W granicie wykuty jest napis: *Tu spoczywają pomordowani przez hitlerowców w zbydniowskim dworze 24 VI 1943+ Wieczną radość – daj im Panie.*



Grób zamordowanych w zbydniowskim dworze

Obok wypisane są nazwiska pomordowanych: Zbigniew Horodyński, Zofia Horodyńska, Anna Horodyńska, Maria Kowerska, Rozalia Koczalska, Krystyna Giecewicz, Loluś Giecewicz, Stanisław Wańkiewicz, Aleksandra Wańkiewicz, Barbara Mierzejewska, Halina Herubowicz, Krzysztof Jeśmian, Halszka Meysztowicz, Elfrida Horwatt, Zofia Ryczek, Maria Latocha, Stefania Łebek, Edward Zboroń.

W dzień po zbrodni, oficer SS wręczył wójtowi gminy i miejscowemu proboszczowi oświadczenie i rozkazał, aby je ogłosić z ambony.

Była to nieudolna próba wytłumaczenia się z tego, co się stało. „Byliśmy zmuszeni zastrzelić 20 osób, aby uratować życie 2000 ludzi, którzy przez kontakty Horodyńskiego z bandami i komunistami są zagrożeni.”¹⁶

INIO

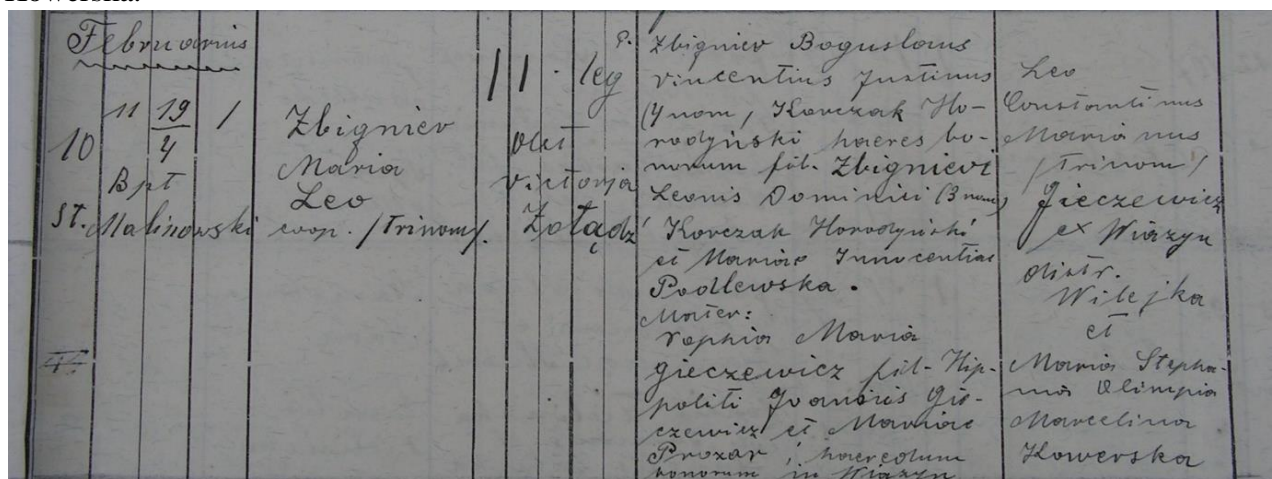
„Ładnie przeżyć wojnę i nie dać się zabić”

Zbigniew Inio Horodyński

Zbigniew Horodyński (1921-1944), nazywany przez rodzinę i przyjaciół „Inio”, był drugim z czwórki dzieci Zbigniewa Horodyńskiego i Zofii z Giecewiczów. Na chrzcie nadano mu imiona Zbigniew Maria Leon. Zachowany do naszych czasów akt chrztu w języku łacińskim znajduje się w księdze parafialnej w kościele pod wezwaniem Św. Mikołaja Biskupa w Zaleszanach. Z wpisu można się dowiedzieć, że Inio ochrzczony został właśnie w Zaleszanach przez proboszcza Stanisława Malinowskiego. Do chrztu trzymali go: Leon Konstanty Marian Gieczewicz z Wiazynia powiat Wilejka oraz Maria Stefania Olimpia Marcelina Kowerska.



Inio Horodyński



Wpis w Księdze parafialnej, dotyczący chrztu Zbigniewa Horodyńskiego

¹⁶ E. Łazowski, op. cit., s.215-216.

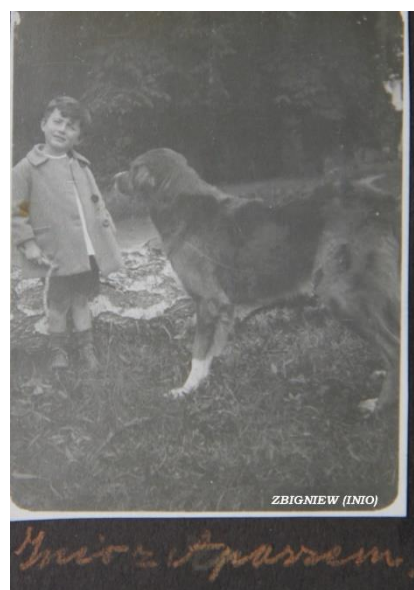
Lata dziecięce spędził, podobnie jak rodzeństwo, w Zbydniowie, w otoczeniu bliskich. Z zachowanych zdjęć i listów, które pisał kilkuletni Inio, wyłania się obraz kochającej się rodziny. Najbliższych nie nazywał ich inaczej jak: Mamusia, Tatuś, Bunia (babcia), Domek (starszy brat), Haneczka (siostra). Świadczy to ogromnym szacunku i przywiązaniu. Był blisko związany z matką. Tęsknił, kiedy wyjeżdżała nawet na kilka dni. Martwił się także o brata, pytał o jego zdrowie.¹⁷ To właśnie w rodzinie kształtował się jego system wartości. Rodzice poprzez własne czyny, a także rozmowy z dziećmi wpajali im najistotniejsze zasady, cechy, którymi powinien być obdarzony każdy młody człowiek.



Dominik, Inio i Andrzej z matką na schodach dworu

Początkowo uczył się w domu pod okiem guwernera, egzaminy zdawał przed kierownikiem szkoły powszechnej w Zbydniowie.

„Rano po śniadaniu i gimnastyce mamy lekcje polskie od 9 do 11. Od 11 do 12 mamy lekcje francuskie. Od 12 jedziemy saneczkami daleko. Po obiedzie idziemy albo jedziemy znowu na spacer aż do 3. Potem Andrzej idzie spać, ja mam przygotowania do podwieczorku. Czytamy też z p. Profesorem”.¹⁸ Inio bardzo lubił ruch na świeżym powietrzu, często przebywał poza dworem, a rodzice nie zabraniali mu wychodzić, nawet wtedy, kiedy były wielkie mrozy i śnieg.



„Pan Horodyński synów trzymał krótko. Pokpiwał sobie zabawnie na ich temat, skrycie był z nich dumny.”¹⁹ Zofia i Zbigniew wychowywali swoje dzieci mądrze. Nie brakowało im miłości, akceptacji, zainteresowania. Nigdy nie były jednak rozpieszczane. Siedmioletni Inio dostał na Mikołaja warcaby, glinkę do klejenia różnych rzeczy, Mikołaja z piernika.²⁰ W 1933 r. Inio trafił do zakładu księży Marianów na warszawskich Bielanach. Szybko się do szkoły przyzwyczaił, a w liście do domu pisał, że czuje się dobrze i wesoło. „Tutaj na Bielanach nic nowego nie słychać, dni ciągle takie same, nauki dużo i czas strasznie prędko leci. Tutaj pogoda ciągle bardzo ładna,

¹⁷ List Zbigniewa Horodyńskiego do matki, 1929, Dostępny w Prywatnym Archiwum Rodziny Horodyńskich.

¹⁸ List Zbigniewa Horodyńskiego do brata Dominika, 1929, Dostępny w Prywatnym Archiwum Rodziny Horodyńskich.

¹⁹ J. Woźniakowski, op. cit., s. 8.

²⁰ List Zbigniewa Horodyńskiego do matki, 1928, Dostępny w Prywatnym Archiwum Rodziny Horodyńskich.

ale wieczory i ranki zimne. Nauka mi idzie dobrze, mam tylko trudności z matematyką. Najlepsze zaś stopnie to mam z religii i z francuskiego”²¹

Najdroższa Mamusiu!
Ja dostatem Na Miketaja waznety, glinki
do klejnia różnych rzeczy, z Miketaj z pier-
nika, wawel i czekolady, i papierosy tak
ze z czekolady i torbki cukierków. Na Na
welu nie bede to "Bunia mówi ze jak pan
profesor przyjedzie to mi pokaze wawel i
Museum narodowe, snieg z dni nie

pada. Miketaj byl unas bardzo ładny,
i byly dwa djaby i Haricotowie, jeden
djabeł byl czerwony drugi byl czarny.
tatuje serdecznie raczki kucharej
Mamusi i kuchonemu tatusowi, ciebie
sa ze wkrótce przyjedzie, z listami
braci i siostr i para Profesora. 11.XII 1928
Inio

Listy Inia do matki

Bielony X 12 cwartek . 1933
Najdroższa Mamusiu
Dlatego mi napisalem w nadziei
pamiawac wczoraj miaty byc obowiazek
listy do domku, ale skacalo si ze
dopiero w sobote mamy pisac wiec nie
czekatem sturij. Wtych dniach ma byc
taki jagody byly pierwszy okres.
W listach beda podane nasze stopnie
i opinia profesorow. Tutaj na Bialanach
nie nowego niestety, dni ciagle
taki same nauki dwie i czas strasznie
pudko lci. Tutaj pogoda ciagle bardzo
tasma, ab wieczory i ranki zimne
Nauka mi idzie dobrze mam tylko
trudności z matematyką. Najlepsze
rosi stopnie to mam z Religii
i z francuskiego. Do Bialan
sa swoi रुपніni impuyerajitemem
i czaje se रुपніni dobro i usoto

W 1938 r. ukończył gimnazjum w Wilnie w konwiktach oo. Jezuitów, podobnie jak jego młodszy brat, Andrzej. Ich kontakty były zawsze bardzo serdeczne, obaj wspierali się i potrafili zjednywać sobie innych ludzi.

Do 1942r. leczyl się w Rabce. Często chorował, miewał wysokie gorączki. W czasie długich godzin na leżaku Inio Horodyński rozczytywał się w Balzacu, twierdząc, że dopiero Balzac nauczył go rozumieć ludzką naturę. Rodzinny majątek odwiedzał tylko w lecie. Podczas wakacji 1939 r. przebywał w Zbydniowie przyjaciel Inia - Jacek Woźniakowski. Tak wspomina ten pobyt: „Mówiliśmy o tym, jak straszliwie absurdalną selekcją jest wojna: giną najlepsi. I jak ciężka odpowiedzialność spada na żywych: podjąć trzeba trud tamtych, nie pozwolić, aby poszły na marne ich praca i siła. Wymyśliliśmy takie hasło: „Ładnie przeżyć wojnę i nie dać się zabić”. Śmiałyśmy się z jego dziecinnej naiwności i z ukrytej sprzeczności, którą zawierało. [...] I nagle temat sam się zmienił, bo konie wyszły spomiędzy drzew i cieni na słoneczne pastwisko, które szerokim łukiem obejmowało las. Ruszyliśmy krótkim galopem. „Patrz, co za koń, - wołał Inio z zachwytem, - jak się zbiera; jak lew!” Siedział na nim świetnie. Niewielu znałem ludzi, którzy by tak dobrze jak on jeździli i tak dobrze wyglądali w siodle. Przy pierwszym zetknięciu ujmował właśnie wyglądem: nieprzepartym wdziękiem, życiem i werwą, młodzieńczą, męską urodą. To było pierwsze wrażenie. Potem dopiero ulegało się niezwyklej sugestii jego sposobu mówienia, sposobu myślenia, jego osobowości. Nie było w niej nic sztucznego, źle przyswojonego, źle dopasowanego. [...]”²²

Już wtedy wszystko wskazywało na to, że wojna jest nieunikniona. Ci młodzi chłopcy zdawali sobie sprawę, czym jest walka. Uważali, że pierwszym obowiązkiem patriotycznym młodych Polaków jest uczyć się i skłaniać rówieśników w tym kierunku. Czuli ciężką na nich odpowiedzialność za dorobek wcześniejszych pokoleń. To niezwykle, spodziewali się, że przyjdzie im spojrzeć w twarz śmierci i godzili się na to w imię wyższych celów. Byli przedstawicielami pokolenia Kolumbów, młodych ludzi urodzonych, dojrzewających i niejednokrotnie ginących podczas wojny i okupacji.

²¹ List Zbigniewa Horodyńskiego do matki, 1933, Dostępny w Prywatnym Archiwum Rodziny Horodyńskich.

²² J. Woźniakowski, Ze wspomnień szczęściarza, Kraków 2008, s. 118.



Inio przy pracy

„Inio za mało umie słuchać” – powiedział o nim ktoś. Ale słuchać umiał – i także bardzo umiał się przejmować. Tylko nie lubił zwlekać i nudzić. Mówił kolorowo i bujnie, pełno było zawsze soczystych porównań, nieoczekiwanych zestawień. Podobnie mówią tylko ludzie związani bardzo blisko z przyrodą, albo ze sztuką. Przyroda i sztuka to był właśnie jego żywioł.”²³

Zbigniew kochał sztukę, przyrodę i ... walkę z najeźdźcą. Wiosną 1943r. wstąpił w Zbydniowie do lokalnego oddziału partyzanckiego AK. Razem z Mieczysławem Horochem był organizatorem tajnej wystawy obrazów w Warszawie. W Sandomierzu zorganizował zlot plastyków oraz komplety dla nauki malarstwa i rysunku. Sam był zresztą świetnie zapowiadającym się malarzem.

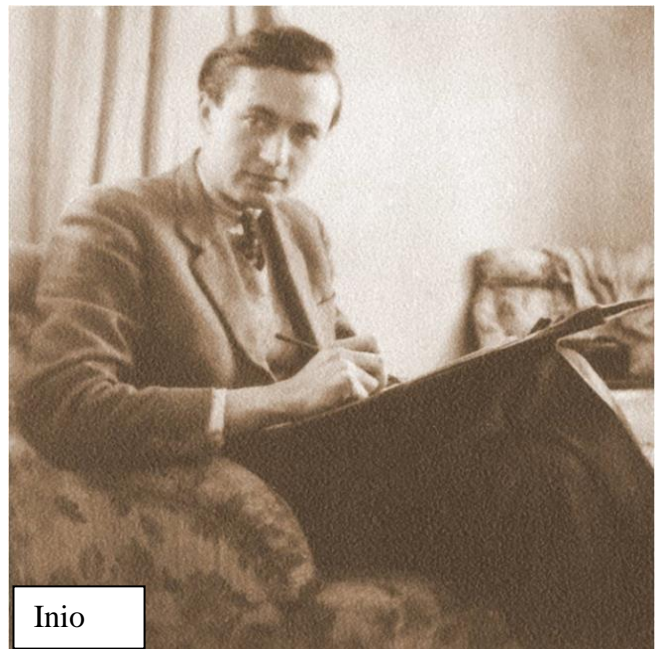
Zamiłowanie Inia do sztuki zaczęło się jeszcze w dzieciństwie. Szkicował „od ręki” karykatury znajomych i rozbrykane koniki. Później zaczął rysować ołówkiem lub kredką krajobrazy, aż w końcu skupił się na malarstwie olejnym (autoportrety, martwe natury). Pozostawał pod wpływem Jerzego Wolfa, pracował także pod kierunkiem Jana Cybisa. Rozwijał się szybko i nieustannie. Był człowiekiem

niezwykle wszechstronnym i pracowitym, ciągle dążącym do podnoszenia swoich kwalifikacji. W tajemnicy pisał powieść autobiograficzną. „Nie wiem, kiedy na to czas znajdował. Przeczytał mi, pod sekretem, kilka rozdziałów. Były świetne, jędrne i dowcipne, zaskakujące trafnością obrazowego nakreślenia osoby ludzkiej, świadomej tego, że porywa ją wielki prąd historii i albo ją zatopi, albo wyniesie na wierzch mocniejszą i zwycięską.”²⁴

Dorobek Zbigniewa Horodyńskiego wynoszący około 200 obrazów o różnej tematyce, powieść oraz próby poetyckie spłonęły w czasie powstania warszawskiego. Zachowało się jedynie kilka mniejszych obrazków.

Inio był człowiekiem niezwykle dojrzałym. Wojna określiła młodość jego młodość, dorastanie i dojrzewanie, zdeteminowała wybory i decyzje. Spowodowała, że zamiast żyć w pełni i korzystać z tego co niesie los, czuł się w obowiązku podjąć walkę za ojczyznę. Nie zaniechał jednak pracy nad sobą. Oprócz udziału w ruchu oporu, poświęcał się uzupełnianiu własnej osobowości. Wierzył, że wiele korzyści mogą mu przynieść kontakty z innymi ludźmi, rozmowy, a szczególnie wymiana wartości. Był przekonany, że w relacjach z innymi każdy powinien oddawać część siebie.

„Rozwijał się szybko i nieustannie. [...] Zdobywczó chłonał świat, ale dawał w zamian całego siebie. Wymianę wartości między ludźmi, wymianę dynamiczną, uważał za rzecz konieczną, zasadniczą. Robił mi kiedyś wymówki — chodziło o wspólnych naszych przyjaciół: „Przecież ty im nic z siebie



Inio

²³ J. Woźniakowski, *Ze wspomnień o przyjacielu*, „Tygodnik Powszechny”, 1947r., nr 9, s.8.

²⁴ J. Woźniakowski, *Ze wspomnień szczęściarza*, Kraków 2008, s. 123.

nie dajesz! Cieszysz się biernie przemiłą atmosferą tego domu i udzielasz w zamian swojej sympatii i towarzystwa. To wiele za mało.”²⁵



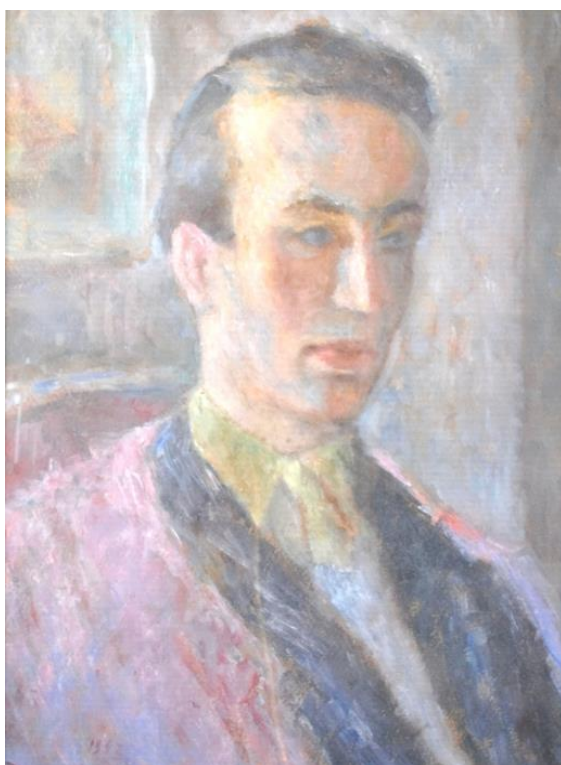
Obraz namalowany przez Zbigniewa (Inio) Horodyńskiego



Obrazy Zbigniewa Horodyńskiego

Inio był człowiekiem niezwykle pogodnym i to pozwalało mu pomimo okoliczności, problemów i trosk zachować równowagę psychiczną, a nawet czasami żartować. „Wieczorem przyszedł nas odwiedzić mały chłopczyk, który mieszkał w sąsiedztwie. Bardzo lubił patrzeć, jak Inio maluje - i wygłasza przy tym kapitalne uwagi. Tym razem Inio długo i poważnie opowiadał mu, jak się poluje w Afryce na hipopotamy i goryle. Przypominam sobie jeden ze sposobów: trzeba tak rozśmieszyć goryla, żeby pękł ze śmiechu. Inio pokazywał, jak się to robi. Potem tłumaczył:

„Czy widziałeś kiedy, żeby na przykład jakaś twoja ciocia pękła ze śmiechu? Pewno nigdy. A jednak ktoś musi pękać, jeśli się tak mówi. To właśnie goryle”. Nie było to może bardzo pedagogiczne, ale chłopczyk był zachwycony. Wycofał się dopiero, kiedy Inio oznajmił mu, że to ja jestem największym afrykańskim myśliwym, ale że mam pewne skłonności ludożercze.”²⁶



Zbigniew Horodyński Inio -

Innym razem Zbigniew razem ze swoim przyjacielem Jackiem Woźniakowskim, będąc w Zakopanem postanowili urządzić „małą demonstrację”. Niemcy wprowadzili całkowity zakaz jazdy na nartach i nakazali oddać sprzęt. „Postanowiliśmy urządzić małą demonstrację. Wzięliśmy dwie pary dzieciennych saneczek, ubraliśmy się całkowicie po miejsku: długie płaszcze, kapelusze, półbuty. Pojechaliliśmy na Kasprowy w towarzystwie czysto niemieckim: w wagoniku nie było poza obsługą ani jednego Polaka. Bardzo wszyscy byli zdziwieni, że jedziemy na górę tak ubrani i bez nart, słyszałem, jak wymieniali jakieś uwagi. A myśmy z tymi saneczkami wyszli na górnej stacji kolejki i tak jakeśmy byli wykrojeni, w te miejskie ubrania, w półbutach, wsiedliśmy na saneczki i ruszyliśmy w dół, w stronę Hali Gąsienicowej, ku zdumieniu Niemców. Nie wiem,

²⁵ J. Woźniakowski, *Ze wspomnień szczęściarza*, Kraków 2008, s. 125.

²⁶ Ibidem, s. 126.

czy oni zrozumieli cokolwiek z tej demonstracji. Nam szło o to, żeby zrobić im na złość, ale przede wszystkim, żeby pokazać koszmarny absurd tego wszystkiego. Wątpię jednak, czy ten subtelny komunikat dotarł do adresatów. W każdym razie zjechaliśmy na Halę Gąsienicową, z tym że mnie się jakoś udało, może raz się tylko stoczyłem, ale Inio Horodyński przyjechał jak śnieżna kula. Potem musieliśmy jeszcze wejść z Hali Gąsienicowej na Karczmisko i dojechać do Zakopanego, ośnieżeni od stóp do głów. To nie był wyczyn sportowy, ale nas to cieszyło, śmieszyło i uważaliśmy, żeśmy pewną satysfakcję odnieśli. Może to był wygłup dziecienny, ale też historia dosyć charakterystyczna dla takiej niefrasobliwości okupacyjnej, a zarazem upiornego surrealizmu tamtych czasów.”²⁷

Wkrótce potem w życie Inia koszmar wojny wdarł się z całym impetem, w czerwcu 1943r. przeżył tragedię – Niemcy dokonali mordu na członkach jego rodziny. Poniższe wspomnienia Zbigniewa obrazują najlepiej, z czym musiał się zmierzyć i co wtedy czuł.

„Nie wiem ile czasu minęło, gdy raptem usłyszałem kroki dwóch ludzi chodzących po strychu – stanęli nad naszą kryjówką. Zaczęli przewracać rzeczy schowane na strychu. Postali i zeszli na dół. Po chwili z dołu, z hallu posypała się seria strzałów w kierunku naszej kryjówki. Jedna kula lekko drasnęła mnie w ramię, inne zahaczyły tylko o moje ubranie, przestrzeliwując rękaw koło łokcia. Andrzej nie był ranny. Teraz znów zaległa cisza.

Wkrótce jednak po raz drugi odzywają się kroki na strychu. Jedne są głośne, drugie ciche skradające się. Wstrzymując oddech, nasłuchujemy. Ciężkie kroki schodzą na dół, widocznie drugi Niemiec został na czatach. Zapewne podejrzewali, że ktoś skrył się na strychu i przypuszczali, że po seriach z pistoletu maszynowego jest ranny i będzie jęczał. Później zrozumiałem przypominając sobie urywki rozmów między Niemcami, w jakim kierunku szły ich podejrzenia: liczba łóżek zasłanych na noc nie zgadzała się z liczbą zabitych, brakło dwóch ludzi. Niemcy chcieli dostać ich w swe ręce, gdyż oni byli świadkami masowego mordu. Godziny mijały. Nastął ranek, leżeliśmy bez ruchu w naszej klatce. Jest ciasno, drętwieją ręce i nogi, jesteśmy niezdolni do myślenia. Zwierzęcy instynkt każe nam czekać. Może nas nie znajdą, może odjadą.

Na dole pod nami ruch nieustanny, warkot motorów samochodowych. W jadalnym pokoju odbywa się libacja, głośne rozmowy, okrzyki i śmiechy. Potem wszystko ucicha. Nastaje noc. Druga noc w zbydniowskim grobie.

Dokucza nam głód i pragnienie. Musimy zmienić pozycję. Zaczynam pomału zbierać myśli i przygotowywać plan: gdy wszystko uspokoi się, wyjdziemy z naszej kryjówki.

Po długich godzinach cierpliwego czekania, zaczęłam czołgać się pod deskami. Odchyliłem deskę jedną, potem drugą, wysunąłem głowę. Przez wąską szparę starałem się wydostać z naszej kryjówki. Gdy już byłem prawie cały na zewnątrz, zajechał przed dom samochód.

Błyskawicznie ukryłem się, zasunąłem deski i położyłem się bez ruchu koło Andrzeja. Serca wałą nam jak młoty. Na dole trzaskanie drzwiami, gwar głosów, zapewne powrócili spóźnieni żołnierze. Pomału zapada cisza, ale my obaj czuwamy.

Przypominam sobie, że mam papierosy i o dziwo - zapalki. Zapalić koniecznie! Chęć palenia jest mocniejsza niż strach. Zaciągam się i podaję papierosa Andrzejowi. Czujemy się teraz silniejsi. Może uda nam się wyjść z tej matni?. Rozmawiamy szeptem. Dodając Andrzejowi otuchy, tłumaczę mu, że musimy mieć siłę i sprawność, by wyczołgać się z naszej kryjówki, wydostać się z domu. Układam plan ucieczki i staram się zabić w sobie złe myśli które mnie nękają: jeżeli wyjdziemy z ukrycia Niemcy pochwyć nas; jeżeli będziemy dłużej tu leżeć – umrzemy z głodu i pragnienia.

Znowu mija dzień, nadchodzi trzecia noc. Jesteśmy coraz słabsi, nęka nas pragnienie, głód skręca kiszki, ciało cierpnie bo pozycja, której nie możemy zmienić, staje się męczarnią. Postanawiamy wykonać drobne ruchy i to absorbuje naszą myśl. Pod nami na dole, Niemcy chodzą, przyjeżdżają, wyjeżdżają. W pewnej chwili wydaje się nam, że jest więcej ludzi, biegają po całym domu, właśnie palimy papierosa, zaciągamy się, gdy nagle słyszymy kroki na strychu, tuż obok naszej kryjówki. Zamarłem z przerażenia. Czy Niemiec poczuł zapach dymu? Niemiec odchodzi wolnym krokiem. Śmierć przeszła tuż obok nas.

²⁷ J. Woźniakowski, op. cit., s. 117.

Trzeci dzień już się kończy. Nie spaliśmy i nie jedliśmy już trzy dni i trzy noce. Usta wysuszyło nam pragnienie. A jednak zmuszam siebie i Andrzeja do ćwiczeń: czołganie się pod deskami. Szepczę:

- Obejmuję komendę; na moją komendę czołgać się! Metr na godzinę! Marsz!!

W naszej kryjówce robi się ciemno. To już czwarta noc. W domu cicho. Po ostatniej kontroli Niemcy zapewne upewnili się, że nikogo w domu nie ma. Postanawiam, że wyjdę na strych: może znajdę coś do zjedzenia. Znow ta sama gimnastyka z wydostaniem się na zewnątrz. Wyprostowałem się. Posuwam się wzdłuż ściany, kręci mi się w głowie, zmuszam się całym wysiłkiem woli, by nie upaść. Macam belki i natrafiam na słoik, słoik konfitur wiśniowych. Poza słoikiem ani chleba, ani wody. Liczyłem, że znajdę kielbasę albo szynkę, bo byłem prawie pewny, że wisiały na strychu. Znow droga powrotna do schowka. Szczęśliwie dotarłem do Andrzeja, który jest u kresu sił. Jem lepka, słodką maść wiśniową. To zaspokaja głód, ale potem mamy w ustach smak obrzydliwy i pragnienie staje się coraz większe.

Andrzej zasypia i bredzi. Gdy go budzę, mówi od rzeczy. Chce popełnić samobójstwo. Przylapuję go, gdy stara się przegryźć arterię ręki. Cicha walka ze słabością jego i moją, ale poczucie odpowiedzialności za życie mojego młodszego brata, daje mi tyle siły, by jego i siebie uchronić od rozpacz. Zaczyna się czwarta noc. Układam plan uciezki. Szepcem powtarzam go Andrzejowi. Myśl moja działa jasno i sprawnie, gdyż widzę i wiem, że Andrzej dalszej doby nie wytrzyma. Plan jest następujący.

Wzdłuż gościnnych pokoi na piętrze, mniej więcej 50 cm poniżej parapetu okiennego ciągnie się metrowej szerokości daszek. Mamy wyjść ze strychu, przejść przez korytarz do gościnnego pokoju, spuścić się na daszek, dojść do rynny i oparci nogami o rynnę przesunąć się kilka metrów aż do balkonu od strony ogrodu. Po kolumnie trzeba zsunąć się na parterowy balkon a potem biegiem w ogród. Leżąc koło Andrzeja powtarzam po raz nie wiem który cały plan. Słucha najpierw apatycznie, potem zaczyna się interesować, widzę, że rozumiał, pytam go, czy się czuje na siłach?

- Tak mam siłę, damy radę!

Samochody niemieckie odjechały sprzed domu. Zapadła cisza. Zaczynamy! Wypelzamy z naszego ukrycia. Andrzej jest tak słaby, że musimy chwilę odpocząć. Cichutko przemykamy się przez strych. Odchylamy drzwi na korytarz. Za drzwiami leży zakrwawiony szlafrok mamy. Podnoszę go i trzymam chwilę w ręku. Idziemy cicho po korytarzu. Dwa stopnie w dół – w tym miejscu podłoga zawsze trzeszczała, ale dziś nie. Wchodzimy do gościnnego pokoju. Okno na oścież otwarte. Jest pełnia! Wychylam się z okna i rozglądam na wszystkie strony. Za węglem domu stoi samochód, na ławce w ogrodzie siedzi żołnierz, chyba śpi. Włażę na parapet, siadam nogami na zewnątrz. Cicho ślizgają się nogi po dachówkach, jeszcze trochę i nogi dosięgają rynny. Ciało leży na daszku, głową opieram się o parapet okna.

Nagle kawałek dachówki urwał się pod moim ciężarem i odbiwszy się o rynnę spadł w dół. Andrzej jest jeszcze w pokoju, zamarł bez ruchu, a ja przylegam całym ciałem do daszku, przegiąłem głowę w tył ręce mam przy sobie. Widzę wyraźnie, że żołnierz ma pistolet maszynowy przewieszony przez ramię. Wstał i rozpoczął obchód. Idzie w naszym kierunku. Przeszedł na drugi róg domu. Wtedy z tą samą co poprzednio ostrożnością cofnąłem się na parapet i do pokoju. Tej drogi po raz drugi próbować już nie będziemy: nie ma nadziei, koniec. Skradamy się znow do drzwi od strychu. Po drodze zaglądam do dzbanka w umywalni, jest pusty, ogarnia nas rozpacz, trzeba wracać na strych.

I znow korytarz, dwa stopnie i drzwi na strych. Nie wracamy do naszej skrytki. Siadamy niedaleko od niej. Palimy ostatni ogarek papierosa i zapadamy w gorączkowy sen przerywany majakami. Andrzej bredzi, ja pewno też. Boję się, żeby któryś z nas nie krzyknął przez sen. A jednak śpimy. Budzi nas ruch na dole, chodzenie, gadanie, jest pewno wczesny ranek. Nie wiem, która godzina, bo zegarek stanął. Czyżby się zepsuł?. Przez szpary widać pierwsze promienie słońca. Układam inny plan. Plan jest bardzo ryzykowny, wolę jednak zaryzykować niż zdechnąć na strychu.



Dwór Horodyńskich w Zbydniowie

Postanawiamy wyjść jedyną drogą, tzn., głównymi schodami, zejść do hallu, z hallu do kredensu i stąd do ogrodu. Chwytam się tego planu jako jedynej szansy i jedynej promyka nadziei. Ustalamy: gdy samochody odjadą wyjdziemy. Patrzę na zegarek, jest ósma rano, a więc zegarek idzie!- może wtedy parzyłem na niego w malignie. Słysząc zapuszczanie motorów, samochody odjeżdżają, pierwszy, drugi i po dłuższej chwili trzeci. W domu ani szmeru. Wychodzimy ze strychu idziemy cicho, ale normalnym krokiem, wchodzimy do naszego pokoju, bierzemy fotografie, które mieliśmy przy łóżkach, drobiazgi, portfel z pamiątkami, przypominam sobie, że szafie bibliotecznej mam schowane pudełko z biżuterią, zabieram i schodzimy na dół. W hallu pusto. Ani jednego płaszcza niemieckiego. Na kamiennej posadzce świeżo zmyte ślady krwi. Wchodzę do jadalnego, na kominku manierka wojskowa. Biorę ją i niosę Andrzejowi, pijemy kawę, pierwszy tyk płynu od tyłu dni. Za drzwiami w gabinecie ojca słysząc głosy Niemców. Wchodzimy do kredensu. Jest pusty, patrzę przez otwarte drzwi, warty nie ma. Okna gabinetu ojca, gdzie siedzą Niemcy, wychodzą na przeciwną stronę domu. Skuleni przebiegamy do gęstych krzaków ogrodowych, kładziemy się w trawie i czekamy zmroku. W tej chwili jest dokładnie jedenasta rano. Jest 28 czerwca 1943 roku. Boimy się tylko, by nasz wyżeł, kochany Dream, nie zwąchał nas i nie zdradził. Ale, zdaje się, że podzielił los wszystkich. Przespaliśmy się do południa, słyszeliśmy znów warkot samochodów, rozmowy i krzyki Niemców.

Zapadł wieczór. Księżyc późno wschodził, wyczołgaliśmy się więc z krzaków i dotarliśmy na folwark do karbowego. Gdy otworzył drzwi, patrzył na nas jak na upiory. Wyliśmy upiorami, wracaliśmy z tamtego świata. Kochany Pan Szydło nawiązał nam i nakarmił, mówił, że Niemcy ciągle kogoś szukają i przesłuchują ludzi. Nikt żywy z pałacu nie wyszedł, ani z rodziny ani ze służby. Pożegnawszy się serdecznie z panem Szydło, ruszyliśmy bocznymi, polnymi drogami do zaufanego gajowego. Szliśmy przez łąny wysokiego żyta i pszenicy, przez pola Zbydniowa.”²⁸

²⁸ Zbrodnia w Zbydniowie, „Tygodnik Polski”, Warszawa 14.04.1985 r., rok IV, nr 15 (127).



Inio Horodyński

Wspomnienia te są dowodem, jak niezwykle mądrym człowiekiem był Inio. W tak dramatycznych okolicznościach wykazał się niespotykanym opanowaniem oraz odpornością psychiczną. Bracia ukryci na strychu, słyszeli wszystko, co się działo we dworze. Najgorsza jednak była bezsilność, nie mogli udzielić pomocy najbliższemu. W swoim „schowku” przebywali cztery noce i trzy dni, obawiając się, że Niemcy ich znajdą. Przez cały ten czas Inio czuł się odpowiedzialny za młodszego brata. Pomimo trudnej sytuacji, starał się myśleć racjonalnie i próbował opracować plan ucieczki. Zdawał sobie sprawę, że muszą zachować sprawność fizyczną, co nie było łatwe, zważając na okoliczności. Zmuszał więc siebie i brata do ćwiczeń. Zmagał się także z fatalnym stanem psychicznym Andrzeja, który próbował popełnić samobójstwo. Inio czekał na odpowiedni moment. W końcu zdecydował się na bardzo śmiały plan zakończony powodzeniem. Razem z bratem wyszedł z dworu za dnia, głównymi schodami przez hall.

Wydarzenia te wywołały u chłopców ogromną przemianę psychiczną. Andrzej przez jakiś czas miał depresję i musiał dochodzić do siebie pod troskliwym okiem życzliwych ludzi w Nawojowej koło Nowego Sącza. Zbigniew natomiast trafił do Warszawy, gdzie podjął walkę w ruchu oporu.

Zamieszkał początkowo u Marii Róży Tarnowskiej i jej rodziny. „Opowiedział nam swą tragiczną historię, gdy mniej więcej w dwa tygodnie później przedostał się do Warszawy i zamieszkał z nami na ul. Prezydenckiej 15, na Kolonii Staszica. Ukrywaliśmy go w naszej willi pod fałszywym nazwiskiem przez kilka miesięcy. Nieraz całe noce spędzaliśmy z nim na rozmowie. Bał się zarówno samotności jak stykania się z ludźmi obcymi mu lub obojętnymi. Byliśmy świadkami jego duchowej udręki, jakże ludzkiej i zrozumiałej, jego bohaterskich zmagania z samym sobą, by się nie załamać, by dalej żyć, i wreszcie zwycięskiego odzyskania sił, równowagi i opanowania nerwów. Z chwilą, gdy mógł już spokojnie i "bezpiecznie" obcować z ludźmi, wynajął sobie mieszkanie na ul. Ordynackiej i tam się przeniósł.”²⁹

W SŁUŻBIE OJCZYŹNIE

*„I wyszedłeś, jasny synku, z czarną bronią w noc,
I poczuleś, jak się jeży w dźwięku minut zło.
Zanim padłeś, jeszcze ziemię przeżegnałeś ręką.
Czy to była kula, synku, czy to serce pękło?”*

K.K.Baczyński

Już jesienią 1943 roku Zbigniew Horodyński uczestniczył w bojowych akcjach dywersyjnych. Przyjął pseudonim „Fredro”. Zmienił również nazwisko na Waław Olczak, ze względu na bezpieczeństwo swoich najbliższych. We wszystkich działaniach Zbigniewowi towarzyszył przyjaciel, Mieczysław Horoch „Jodła”. „Dopełniali się z Iniem wyjątkowo. Bodaj takie głupstwo: cóż to były za bajeczne opowiadania na dwa głosy, po każdym wypadzie w teren, kiedy tu wyleciał w powietrze most, ówdzie pociąg z amunicją (Horoch specjalizował się w mostach) - a oni wracali do Warszawy i w gronie przyjaciół odżywała raz jeszcze cała historia: nocne półgłosy lasu, napięcie wyczekiwania, akcja, krótkie serie stenów: tępe wybuchy granatów - a potem powrót, jako łagodni cywile, grzecznie i chętnie pokazujący Niemcom legitymacje w pociągach i na szosach. Podobnie opowiadają ci, którzy najściślej współżyją z przyrodą - i czasem artyści. Ludzie natury i ludzie sztuki. W Warszawie obaj chłopcy wchodzili w nurt podziemnego życia intelektualnego i artystycznego, póki następnym rozkazem nie wyznaczono im nowej akcji.”³⁰

²⁹ M.R.Tarnowska, *Noc Kupaty*, „Wiadomości”, Rok XVI nr 10 (779), 5 marca 1961.

³⁰ J.Woźniakowski, op. cit., s. 123.

W początkach listopada 1943r. w ramach ogólnopolskiej akcji, pomiędzy Rozwadowem a Lipą, wyleciał w powietrze pociąg, wiozący niemieckich „urlopników” z frontu wschodniego. Wywiązała się godzinna walka. Straty Niemców przerosły setkę.³¹

W 1944 roku do Inia i Mieczysława Horocha dołączył Andrzej Horodyński „Pożoga”.

Służba w dywersji nie była łatwa. Wymagała drobiazgowego i dokładnego wyszkolenia, starannego przygotowania się do akcji, cierpliwego i dokładnego rozpoznania. Była to dobra szkoła wyrabiania poczucia odpowiedzialności za siebie i innych. Każdy pomysł zorganizowania i przeprowadzenia akcji wiązał się z wieloma niebezpieczeństwami. Narady i decyzje były trudne, ciągły dylemat, jak godzić akcje z bezpieczeństwem Polaków, musieli przecież uwzględnić zawsze możliwy niemiecki odwet. Poza tym, młodzi chłopcy biorący udział w akcjach dywersyjnych, musieli zmierzyć się ze swoim sumieniem i rozwiązać trudne zagadnienie zabijania. Nie było to łatwe, nawet wtedy, kiedy chodziło o wroga.

• AKCJA „F”

19 października 1943 r. żołnierze warszawskich struktur Kedywu Armii Krajowej, wsparci przez lokalne oddziały AK wykonali wyrok Polskiego Państwa Podziemnego na niemieckim zarządcy majątku Lubomirskich Martinie Fuldnerze w Charzewicach, dzisiejszej dzielnicy Stalowej Woli. Martin Fuldner został zlikwidowany za zlecenie mordu na rodzinie Horodyńskich w pobliskim

Zbydniowie, w którym Niemcy zabili 19 osób. Wyrok wykonywał ocalały w mordzie syn, Zbigniew Horodyński ps. „Fredro”.

Komendant Kedywu Komendy Głównej Emil August Fieldorf ps. „Nil” zlecił planowanie i wykonanie akcji Akcji „F” żołnierzom warszawskiego Kedywu KG oraz partyzantom ze Świętokrzyskiego Zgrupowania Partyzanckiego Jana Piwnika „Ponurego”. Sam Jan Piwnik w akcji nie mógł wziąć udziału, więc oddelegował dwóch żołnierzy ze swojego oddziału – Aleksandra Łempickiego „Łukomski” i Albina Hoppe „Stefanowski”, by wsparli ocalałego w mordzie Zbigniewa Horodyńskiego ps. „Fredro” oraz jego kolegę, Mieczysława Horocha ps. „Jodła”, dwóch żołnierzy Oddziału Specjalnego „Osjan” warszawskiego Kedywu KG AK.

Przebieg Akcji „F” opisał uczestnik akcji i partyzant ze Zgrupowania Partyzanckiego „Ponurego” Aleksander Łempicki ps. „Łukomski” na łamach „Tygodnika Wiadomości” wydawanego w Londynie.

Według jego relacji „Fuldner nie czuł się jednak bezpieczny. Wielu Niemców przestało utrzymywać z

nim stosunki, poza tym obawiał się wymiaru sprawiedliwości ze strony polskiej. Ze swego domu na przedmieściach Rozwadowa przeniósł się do Stalowej Woli. Po pewnym czasie wrócił i mieszkał z 25 żandarmami. Mijały miesiące - nic się nie działo. Czujność jego zaczęła maleć. Żandarmów wyprawił i zaczął prowadzić dawny tryb życia.

Nadeszła jesień. Sprawa Fuldnera rozpatrzona została dokładnie przez Kierownictwo Walki Cywilnej. Komendant Kedywu wydał zgrupowaniu partyzanckiemu por. „Ponurego” rozkaz wykonania akcji na Rozwadów. Akcja ta nosiła kryptonim „F”. W myśl rozkazu, miano opanować Rozwadów na okres czasu, potrzebny do publicznej egzekucji Fuldnera. Miał on zostać powieszony na rynku, a rodzina, składająca się z żony i syna, rozstrzelana. Stało się jednak inaczej. Zorganizowanie akcji „F” okazało się w owym czasie niemożliwe. Wykonanie wyroku na Fuldnera powierzono czterem ludziom: „Fredrze”, jego nierozłącznemu towarzyszowi „Jodle”, dowodzącemu

³¹ A.Łempicki, Zbydniów, „Wiadomości”, Rok II nr 39 (78), 28 września 1947.

tą akcją, „Albinowi” (Albin Hoppe ps. „Stefanowski” -przyp. red.) i piszącemu te wspomnienia. Rola moja miała znaczenie: dziwnym trafem, byłem jedynym mówiącym po niemiecku.”³²

Wykonawcy akcji zjawili się w zbydniowskich lasach w pierwszych dniach października 1943r. Ich pobyt w leśniczówce trwał tydzień. Musieli rozpoznać teren i przygotować plan działania. Miejscowe władze z komendantem obwodu miały udzielić im pomocy. Czekało już tylko na odpowiedni moment. 13 października otrzymali wiadomość, że Fuldner wrócił właśnie z dwoma gośćmi z objazdu swoich rozległych dóbr.

Inio przebrał się w niemiecki mundur, co zwiększyło szansę wtargnięcia do domu Niemca bez wszczynania niepotrzebnego hałasu. Łempicki, znający język niemiecki, otrzymał tyrolski kapelusz i zielony płaszcz, przypominał więc volksdeutscha. Najpierw zostały przecięte druty telefoniczne, a następnie uczestnicy akcji poszli w kierunku domu. Do wnętrza wpuściła ich pokojówka, widząc niemiecki mundur. Zapytali ją, kto jest w domu i nakazali milczenie.

„Czasu do tracenia nie było. Spojrzeniami rozdzieliliśmy role. „Jodła” zniknął w kuchni, popchnąłem za nim służącą. Albin wciągnął malca do pokoju po przeciwnej stronie korytarza. Z „Fredrą” ruszyliśmy do salonu. Z trzaskiem otworzyły się drzwi.

- *Hande hoch!* - „Fredro” stanął z wyciągniętym „visem”.

Jednym spojrzeniem ogarnąłem pokój. Panował półmrok. W rogu przy stole, oświetlonym stojącą lampą, siedzieli trzech mężczyzn. Przed nimi stosy papierów i porozkładane mapy. Trzygłowy jednocześnie odwrócił się w naszą stronę.

- *Hande hoch!* - ryknął „Fredro” już po raz drugi.

Oni jak gdyby nie wierzyli. Środkowy, uprzednio siedzący tyłem, powoli zaczął unosić się z fotela. Nie dawał wiary własnym oczom. Na co ten oficer sobie pozwala? Ręce jednak same szły w górę, a cygaro padło na puszysty dywan.

Fredro” stał na środku pokoju z wymierzonym „visem”. Tamci dwaj już się wyciągnęli jak struny. Zapaliłem górne światło. Telefon na biurku - niepotrzebna ostrożność, ale jedno szarpnięcie i było po nim. Podszedłem do Fuldnera:

- *Masz broń?*

Ma. Wyciągnąłem mu z kieszeni małą szóstkę.

- *Widać czujesz się bezpiecznie, skoro tylko taką nosisz?!*

Przyznał mi rację - dlaczegoż by nie miał czuć się bezpiecznie? Spytałem go o dokumenty. Były w biurku i portfelu. Ale pieniędzy nie ma, zaznaczył pośpiesznie.

- *Psu na buty twoje pieniądze!*

Zabrałem się do opróżniania wartości dwóch szuflad, gdy nagle z wrzaskiem wpadł do pokoju młody, który wyswobodziwszy się widocznie z uścisku „Albina”, schował się pod fotel, za ojca. Ryczał jak obdzierany ze skóry. Kazałem ojcu go uspokoić. Po chwili osiągnęło to pewien skutek.

Trzej Niemcy, na rozkaz, pokornie ułożyli się na podłodze, twarzami zwrócenii do ziemi, ręce wyciągnięte. Tymczasem w pokoju zgromadzili się już wszyscy. „Jodła” przyprzewodził całe towarzystwo z kuchni. Stojąc w rogu pokoju, zbici w małą gromadkę, wyglądali bardzo wystraszeni.

Wyciągnąłem z kieszeni plik wyroków, wypisanych po niemiecku. Powoli zacząłem czytać. Zrobiło się zupełnie cicho. Słyszałem tylko ciężki oddech Fuldnera i mój własny, jakoś dziwnie brzęczący głos. Pomimo wszystko nie przywykłem do tej roli. W pewnej chwili Fuldner mi przerwał.

- *Ich bin nicht schuldig ich bin nicht schuldig (nie jestem winien) - belkot!*

Zwróciłem mu uwagę, że nie pora teraz o tym dyskutować. Zamilkł. Bez słowa wysłuchał litanii swoich zbrodni oraz wyroku, głowę tylko głębiej wciągnąwszy w ramiona. [...] „Albin” i „Jodła” stali w zamyśleniu. Fredro oglądał pistolet. Należało już kończyć. Rzut oka na zegarek

³²A.Łempicki, op. cit.

przekonał mnie, że byliśmy w tym domu około kwadransa. Usłyszałem trzask kurka. „Fredro”, powoli jak gdyby na zwolnionym filmie, podnosił rękę do góry. Głowa Fuldnera schowała się całkiem między ramiona, twarzy nie można było dostrzec, patce kurczowo wpijały się w miękki dywan. Huknął strzał. Krew bryznęła niemal na moją wysokość. Odpowiedziały mu dwa inne, złane niemal w jeden. To „Albin” posyłał syna w ślad za ojcem. Szyby zadzwoniły w oknach.³³

W chwilę później ten sam los spotkał żonę Fuldnera, która wracała powozem z Rozwadowa.

W odwecie za śmierć Fuldnera, 20 października 1943 roku, Niemcy rozstrzelali w Charzewicach, na łące zwanej „Maźnica”, 25 osób. Pani Michalina Hara (obecnie Tyban) wspomina: „Pamiętam też egzekucję, jaką wykonali Niemcy na 25 Polakach w zemście za śmierć Fuldnera i jego rodziny. Wraz z innymi pracownikami przebywałam w baraku przeznaczonym dla służby i stamtąd przez szpary w deskach widzieliśmy tę tragiczną akcję.

Niemcy dzień wcześniej polecieli miejscowym chłopom wykopać ogromny dół na 4 m długi, 3 m szeroki i 2 m głęboki. Nazajutrz przywieziono 22 mężczyzn i 3 kobiety. Przebywająca w baraku służba płakała, widząc prowadzonych na stracenie niewinnych ludzi. Podzielono ich na ośmioosobowe grupy i ustawiano tuż nad dołem, w każdą osobę wymierzony był karabin. Na rozkaz rozlegały się strzały, a potem dodatkowo dobijano ciała leżące w dole. Pani Michalina pamięta, że tuż przed strzałem, jeden z mężczyzn krzyknął „Niech żyje Polska”.³⁴

• AKCJA BIELANY

„W Warszawie w nocy z 3 na 4.V 44 oddziały nasze wykonały akcję na lotnisko Bielany, niszcząc 5 samolotów transportowych (3 - motorowe „Junkersy“) i uszkodzając 3 dalsze. Pożar trwał kilka godzin”.³⁵ Tymi słowami dowództwo AK informowało o jednej z najbardziej udanych akcji zniszczenia Niemcom sprzętu.



Od lewej Jerzy Zaufal „Oliwa”, Mieczysław Horoch „Jodła” i Zbigniew Horodyński „Fredro” idą Aleją Zjednoczenia przed zbiórką do akcji Bielany. Zbigniew Horodyński niesie w teczce stena. Dwaj pierwsi polegli później w akcji Pawiak, ranny po akcji Inio trafił do więzienia, gdzie został zamordowany.

³³ A.Łempicki, op. cit.

³⁴ Relacja ustna p. Michaliny Tyban.

³⁵ W.Bartoszewski, *Ju-52 w płomieniach. Akcja dywersyjna na lotnisku Bielany*, „Stolica”, R. 12, nr 41, 13 października 1947.

Na pomysł akcji wpadł „Jan” (Jan Kajus Andrzejewski). Uzyskał on zgodę władz zwierzchnich na przeprowadzenie akcji na Bielanych i czuwał nad całokształtem przygotowań. Wszystko trzeba było drobiazgowo zaplanować. Obserwacje wykazały, że jedynym możliwym miejscem do wykonania akcji jest część lotniska położona w pobliżu drogi polnej, prowadzącej od szosy na północ przez wieś Wawrzyszew Stary. Samoloty parkowały w odległości 100—150 metrów od krańców lotniska, trzeba było przewidzieć niepostrzeżone pokonanie tej odległości pod osłoną mroku, w przerwie między przejściem kolejnych patroli niemieckich, szybkie i sprawne wykonanie zadania, a wreszcie ciche wycofanie się. Kiedy ukończono wszystkie przygotowania, należało wyznaczyć termin akcji. Ustalił go kpt. „Jan” po otrzymaniu wiadomości, że na lotnisku parkują niemieckie samoloty transportowe typu „Ju 52”, załadowane materiałami i sprzętem wojennym przeznaczonym na front wschodni. Uderzenie miało nastąpić w nocy z 3 na 4 maja 1944 r.

Broń dla wszystkich uczestników akcji przetransportowali na Bielany w ciągu dnia — „Mały” (Hieronim Lubomirski), najmłodszy uczestnik akcji i „Oliwa”. Zbiórkę oddziału wyznaczono na godz. 21.00. W piwnicach niewykończonego domu u zbiegu ul. Kasprowicza i al. Zjednoczenia stawiło się o tej porze punktualnie 18 ludzi, wśród nich: Zbigniew Horodyński „Fredro”, Mieczysław Horoch „Jodła”.

„Na miejscu uczestnicy akcji rozeszli się w kierunku samolotów. Pięć patroli, po dwóch ludzi w każdym, wykonać miało zadanie ułożenia ładunków plastikowych i podpalenia lontu. „Spad” skierował na ubezpieczenie prawego, bardziej zagrożonego skrzydła, „Jodłę”, „Fredrę” i „Traktora”, uzbrojonych w broń krótką, granaty i w dwa pistolety maszynowe. Na lewym skrzydle tę samą rolę spełniali, podobnie uzbrojeni: „Mały”, „Witold” i „Łodzia”. W skład patroli minerskich, wykonujących główną część zadania, wchodziła zaś: „Oliwa”, „Stanisław”, „Żbik”, „Miś”, „Kuba”, „Boryna”, „Arbuz”, „Edmund”, „Pożoga” i „Wojtek”. Towarzyszył im na prawym skrzydle kpt. „Jan”. Według ustalonych poprzednio założeń każdy patrol podszedł do „swojego” samolotu. Jeden z uczestników patrolu podsadzał teraz drugiego, który wdrapywał się na lewe skrzydło maszyny i kładł bezpośrednio przy kadłubie samolotu silny ładunek plastiku z normalnym lontem prochowym kilkudziesięciocentymetrowej długości, spuszczać przy tym lont tak, aby zwisał, schodził następnie na ziemię i szykował zapalki. Drugi żołnierz z każdego patrolu wracał natychmiast po wykonaniu tej części zadania do „Spada”. „Spad” stał w tym czasie na terenie lotniska, mniej więcej na połowie drogi pomiędzy ogrodzeniem a miejscem postoju maszyn. Czas potrzebny na dojście do samolotów, założenie na skrzydłach ładunków i przygotowanie się do odpalenia lontów był dokładnie obliczony.”³⁶

W chwili, kiedy uczestnicy akcji zaczęli się wycofywać po zapaleniu lontów, rozległy się strzały niemieckiego patrolu. Odpowiedziano mu kilkoma seriami, ale już w tym momencie wybuchać zaczęły pierwsze samoloty. Wielki słup ognia i dymu unosił się nad lotniskiem, rozjaśniając mrok nocy. Ładunki eksplodowały prawidłowo, rozrywając baki z benzyną. Na lotnisku wybuchła panika, zawyły syreny, wystrzelono rakiety sygnałowe, w mieście ogłoszono alarm lotniczy. Chłopcy wycofywali się sprawnie przewidzianą trasą, drogami polnymi w kierunku Babic.

Przez kilka godzin widoczna była z daleka łuna pożaru nad Bielanami. Pięć Junkersów, spłonęło doszczętnie, a trzy doznały poważnych uszkodzeń. Osiem niemieckich maszyn transportowych nie poleciało z ładunkiem na front wschodni. Akcja dywersyjna oddziału AK „Osjan”- „Sawicz” na lotnisku Bielany zadała wrogowi dotkliwe straty

Wszyscy uczestnicy wzorowo przeprowadzonej akcji Bielany, a wśród nich Zbigniew Horodyński, zostali odznaczeni Krzyżem Walecznych.³⁷

³⁶ W. Bartoszewski, op. cit.

³⁷ Ibidem.

• AKCJA PAWIAK

Była to ostatnia akcja, w której wziął udział Zbigniew Horodyński. Miała ona polegać na odbiciu więźniów z osławionego więzienia na Pawiaku.

16 lipca 1944 roku **por. „Sawicz” (Julian Barkas)**, dowodzący wówczas oddziałem „Osjan“, otrzymał następujący rozkaz: *„W dniu 19 lipca około godz. 23.00 zostanie przeprowadzona akcja odbicia więźniów z Pawiaka. Przewiduje się, że po przeprowadzeniu akcji duża grupa uwolnionych więźniów będzie odprowadzona pod eskortą oddziałów biorących udział w akcji ulicą Elbląską w kierunku Puszczy Kampinoskiej. Por. „Sawicz” ma przy pomocy por. „Topolnickiego” przeprowadzić koncentrację kolnierzy z obu tych oddziałów na cmentarzu Powązkowskim, z zadaniem przyjęcia spodziewanego uderzenia sił niemieckich w nocy z 19 na 20 lipca, powstrzymanie jak najdłużej natarcia nieprzyjaciela i tym samym opóźnienia pościgu za grupą odprowadzającą więźniów.”³⁸*

Na zorganizowanie tej akcji pozostawało bardzo mało czasu. Przeprowadzono rozpoznanie terenu w rejonie ulic Ostroroga, Tatarskiej i Powązkowskiej, gdzie miała nastąpić koncentracja i przerzut broni, a następnie podzielono role. Ustalono, że uczestnicy akcji z oddziałów por. „Sawicza” i por. „Topolnickiego”, w ogólnej liczbie około 30 ludzi, stawią się bez broni, na krótko przed godziną 20.00 przy IV bramie cmentarza w pobliżu ul. Tatarskiej. „Witold” wraz z dwoma ludźmi miał uniemożliwić dozorczy zamknięcie bramy o godz. 20.00, a następnie wprowadzić na cmentarz przybywających kolejno kolegów.

„Oliwa” (Andrzej Zaufał), „Stanisław (Stanisław Cwil) oraz „Kuba” (Konrad Bittner) otrzymali zadanie zdobycia na mieście odpowiedniego samochodu i przywiezienia broni dla całej grupy z magazynu przy ul. Dobrowoja na Powązki. Broń przerzucić miano w opakowaniu przed godz. 20.00 przez mur cmentarny od strony ul. Tatarskiej, w miejscu upatrzonym przez „Spada”.

Grupa „Witolda” miała po przejęciu broni miała skoncentrować się w południowo-wschodniej części cmentarza Powązkowskiego i oczekiwać na rozpoczęcie akcji. Dowodzenie całością sił w rejonie cmentarza objął por. „Sawicz”.

„Oliwa”, „Stanisław” i „Kuba” zatrzymali na mieście prywatną ciężarówkę i zarekwirowali ją do wieczora. Załadowali bez przeszkód broń, amunicję i granaty na samochód i około godz. 17.00 zajechali na ul. Orlą, gdzie w mieszkaniu Jesiołowskich oczekiwało na nich kilku kolegów. „Spad” zajął teraz miejsce w szoferce obok „Stanisława”, a „Oliwa”, „Jodła”, „Fredro”, „Traktor”, „Kuba”, „Witold”, „Koka” - na wozie. Wyjechali z Orlej około godz. 18.00 i po dłuższym czasie zajechali na ul. Tatarską. Przerzucili tu broń bez przeszkód przez mur cmentarny. W tym czasie na ulicę Powązkowską zajeżdżali tramwajem dalsi uczestnicy akcji. Por. „Sawicz” spacerował w pobliżu przystanku. „Witold” z pewnym opóźnieniem opanował zamkniętą już IV bramę i kilkunastu chłopców weszło na cmentarz.

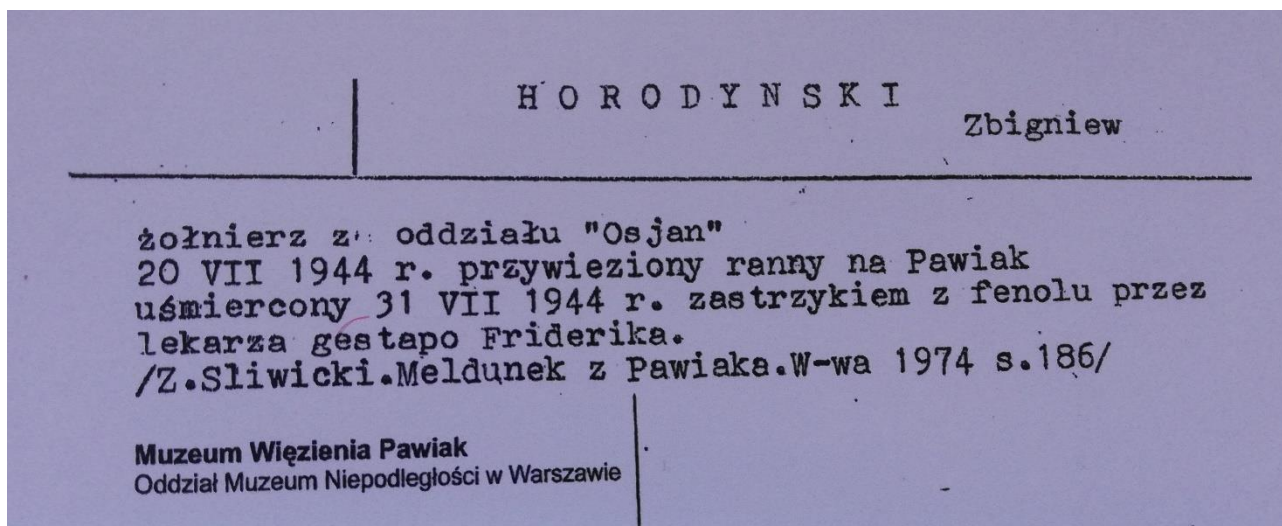
Od godziny 21.00. wydarzenia zaczęły rozgrywać się w błyskawicznym tempie. Patrol niemiecki zatrzymał niespodziewanie „Sawicza” na ul. Powązkowskiej, który wylegitymował się Niemcom. W tej chwili od strony cmentarza rozległy się strzały, a zaraz potem — wybuchy granatów. „Sawicz” wykorzystał moment dezorientacji patrolu i pozostawiając „Ausweis” w ręku Niemca, rozpoczął ucieczkę. Ostrzeliwany, dobiegł do torów kolejowych i przedostał się w nocy bezpiecznie na Żoliborz.

Na cmentarzu znajdowało się o godz. 21.00 dziesięciu ludzi (pod dowództwem doświadczonego i znanego ze swej odwagi por. „Witolda”). Była to znakomita kadra żołnierzy dywersji, wypróbowana już w niejednej akcji bojowej: bracia Zbigniew i Andrzej Horodyńscy („Fredro” i Pożoga”), Jerzy Jesiołowski („Traktor”), Jerzy Zaufał („Oliwa”), Mieczysław Horoch („Jodła”), Konrad Bittner („Kuba”), Bronisław Pietrzak („Bronek”), „Skowron” i Zinserling („Koka”) oraz „Wojtek”.

³⁸ W. Bartoszewski, op. cit.

„Jesteśmy na cmentarzu —wspominał po wojnie „Kuba”. Jest cisza. Słońce zaszło już i niebo czerwienilo się jak krew. Wszyscy myślimy o jednym: jak powiedzie się akcja. W pewnej chwili (czyżbyśmy się pomylili?) za nagrobkiem mignął nam hełm niemiecki. To niemożliwe! Zdawało nam się. Za chwilę znów to samo z drugiej strony. Czy nas otoczyli? Ależ to niemożliwe. Przecież nasi są przed cmentarzem, przecież by nas ostrzegli. Niestety, nie zdołano nas zawiadomić o odwołaniu akcji. W tym momencie rozpoczęła się nagle strzelanina. Strzały padały ze wszystkich stron. A więc otoczyli nas! Łapiemy za broń. Trzeba się stąd wydostać za wszelką cenę”.³⁹

W upalną letnią noc rozegrała się między starymi grobowcami Powązek zacięta i straszna walka. Siły niemieckie przybyły tu w określonym zamiarze i na ustalone miejsce. Chłopcy nie spodziewali się jakichkolwiek działań przed godziną 23.00. Zaskoczenie było zupełne. Strzelali do ostatniego naboju. W walce polegli: „Witold” i „Oliwa”, „Jodła”, „Traktor”, „Pożoga” i „Broniek”. „Spad”, „Mały” i „Marek” przedostali się już niepostrzeżenie przez tory kolejowe i zmierzali po ciemku w kierunku al. Wojska Polskiego. Dostrzegł ich jakiś niemiecki wartownik, ale nie zatrzymali się na wezwanie. „Mały” został zastrzelony. „Spad” i „Marek” zdołali uciec. Czterech uczestników akcji dostało się żywcem w ręce wroga. Byli to „Fredro”, „Koka” i „Skowron” - ciężko ranni oraz „Wojtek. Przewieziono ich na Pawiak. Wkrótce potem zabito wszystkich zastrzykiem z fenolu. Poniższa karta, znajdująca się obecnie w Muzeum Więzienia Pawiak zawiera informacje o Zbigniewie Horodyńskim. Rannego Inia uśmiercił lekarz gestapo Friderik.



Ciała poległych na cmentarzu zostały przewiezione przez Niemców do kostnicy na ul. Oczki, a następnie pochowane pod fałszywymi nazwiskami. „Trzy dziewczyny zawiozły trumny na katolicki cmentarz na Powązkach, przy dużych oporach wystraszonego księdza załatwiły niezbędne formalności i pochowały biednych podchorążych pod fikcyjnymi nazwiskami w nowej części cmentarza, niedaleko od miejsca, gdzie polegli.”⁴⁰

Po wojnie poległych uczestników Akcji Pawiak ekshumowano i pochowano ponownie na cmentarzu wojskowym na Powązkach. Zadał o to brat Zbigniewa i Andrzeja, Dominik Horodyński. „Nie pamiętam nazwisk, pod jakimi zostali pochowani i jesienią 1945 r. odszukanie ich grobów zajęło mi wiele tygodni. W brodeniu po zarośniętym wysokimi chwastami Cmentarzu Powązkowskim pomagał mi wiernie jeden z przyjaciół. Wreszcie odnaleźliśmy groby, w tym samym prawie miejscu, gdzie kilkanaście miesięcy przedtem Andrzej, „Jodła” i „Oliwa” polegli. Przeprowadziłem ekshumację i przeniesienie zwłok na cmentarz wojskowy. Było to straszne przedsięwzięcie. Najpierw musiałem identyfikować poległych, Andrzej był w mojej marynarce, którą pożyczyłem mu na akcję...

Nie dysponowałem zupełnie pieniędzmi i nowe trumny zbite były z desek koślawych, trudnych do uszczelnienia. Zarząd Cmentarza Wojskowego potraktował mnie podejrzliwie, bardzo niechętnie.

³⁹ W.Bartoszewski, *Tragiczna noc „Osjana” na Cmentarzu Powązkowskim*, „Stolica”, nr 30 Rok XIII, 27 lipca 1958r.

⁴⁰ D.Horodyński, *Wspomnienia o bracie Andrzeju* [w]: Szkoła Rolnicza w Czernichowie – Wychowankowie – Andrzej Horodyński, s. 284.



Grób Andrzeja Horodyńskiego
na Powązkach

Po długich targach uzyskałem miejsca obok pochowanego już tam „Witolda” (Witold Matuszewski), świetnego oficera, dowódcy ostatniej walki „Osjana”.

Na pogrzeb przyszło może trzy osoby. Było zimno, padał deszcz. Grabarze zjawili się brudni, nieogoleni, źli i tak pijani, że wydawało się, iż nie doniosą trumien do grobów, choć podwieźliśmy je chudym, wynędzniałym koniem bardzo blisko. Zarząd Cmentarza przysłał księdza, który był jeszcze mniej życzliwy od grabarzy. Nie przywitał się ze mną, powiedział: 3 trumny to musi kosztować tyle a tyle; wziął pieniądze, coś zamamrotał pod nosem, machnął kropidłem i poszedł. Z daleka, zza krzaków, przyglądali się nam jacyś mężczyźni o niedwuznacznym wyglądzie. Miałem wrażenie, że chowam przestępców.”⁴¹

Zamordowany na Pawiaku „Inio” nie ma swojego grobu. Do dziś nie wiadomo, gdzie oprawcy pogrzebali jego ciało.

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Akcja Pawiak była prowokacją Niemców. Działania zostały odwołane przez dowództwo AK w ostatniej chwili, tylko oddział „Osjana”, którego członkami byli Horodyńscy i Horoch, nie został o tym poinformowany. Wszyscy polegli żołnierze z „Osjana” otrzymali pośmiertnie Krzyże Walecznych.⁴²

*

„Ładnie przeżyć wojnę i nie dać się zabić” to hasło zostało wymyślone przez Zbigniewa Horodyńskiego, kiedy Polska stała w obliczu niemieckiej agresji. Słowa te zawierają pewną sprzeczność – wojna nigdy nie była i nie będzie ładna, a Inio wypowiadając je, myślał zapewne o służbie Ojczyźnie. W 1939r. miał zaledwie osiemnaście lat, był to wiek, kiedy młodość graniczy jeszcze z dzieciństwem. Jednak decyzja o podjęciu walki była jednoznaczna, uwarunkowana moralnym nakazem chwili. Nie mógł postąpić inaczej w momencie zagrożenia kraju. Było to logiczne następstwo tego, jak został ukształtowany przez dom, środowisko, szkołę. Na bohatera wychowała go tradycja rodzinna, losy przodków nierozzerwalnie związane z losami Polski. Wojenne dzieje Inia to przyspieszony kurs dojrzewania, które było nie tylko nabywaniem odwagi, męstwa, twardości charakteru, ale także pogłębiającą się wrażliwością moralną. Mieści się w niej poczucie odpowiedzialności za najbliższych, mądrze pojęte koleżeństwo, uczciwość w ocenianiu samego siebie. Zbigniew myśli o walce, ale myśli także o czasach, które nadejdą po zakończeniu wojny, o etyce walki czy potrzebie samokształcenia. Na losy Inia kładzie się cieniem osobista tragedia – śmierć rodziców, siostry i innych członków rodziny - bestialsko zamordowanych przez Niemców. Pomimo tak bolesnych wydarzeń, nie zaprzestał walki. Czynnikiem uczestniczył w opisanych przez nas akcjach ruchu oporu. Został także dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych.

Naszym zdaniem Zbigniew Horodyński zasługuje na miano bohatera, zasługuje na upamiętnienie w miejscu, gdzie stracił życie, na Pawiaku, tym bardziej, że do dzisiaj nie wiemy, gdzie został pochowany. Jego czyny i działalność to przesłanie i swoisty testament, za którego realizację „odpowiedzialność spada na żywych...”

⁴¹ D.Horodyński, *W sprawie akcji Pawiak*, „Kultura”, Warszawa 15 sierpnia 1965r.

⁴² W.Bartoszewski, op. cit.

BIBLIOGRAFIA

- Bartoszewski W.**, Ju-52 w płomieniach. Akcja dywersyjna na lotnisku Bielany, „Stolica”, R. 12, nr 41, 13 października 1947.
- Bartoszewski W.**, Tragiczna noc „Osjana” na Cmentarzu Powązkowskim, „Stolica”, nr 30 Rok XIII, 27 lipca 1958r.
- Boniecki A.**, Herbarz Polski, cz. I, t. VIII, Warszawa 1904.
- Horodyński D.**, W sprawie akcji Pawiak, „Kultura”, Warszawa 15 sierpnia 1965r.
- Horodyński D.**, Wspomnienia [w]: Zygmunt Ryszard Smirtha-Kami(e)ński, Ku chwale Ojczyzny, Warszawa 2003.
- Horodyński D.**, Wspomnienia o bracie Andrzej [w]: Szkoła Rolnicza w Czernichowie – Wychowankowie – Andrzej Horodyński.
- Horodyński Z.**, Mój pamiętnik. Opowiadania o rzeczach przeżytych od 20 lutego 1851r., Zbydniów[mps], Dostępny w Prywatnym Archiwum Rodziny Horodyńskich w Warszawie.
- Jamiołkowski J.**, Herbarz szlachty polskiej, t.14, Warszawa 1917.
- Łazowski E.**, Prywatna wojna, Stalowa Wola 2000.
- Lempicki A.**, Zbydniów, „Wiadomości”, Rok II nr 39 (78), 28 września 1947.
- Słomka J.**, Pamiętniki włościanina, Warszawa 1983.
- Tarnowska M.R.**, Noc Kupały, „Wiadomości”, Rok XVI nr 10 (779), 5 marca 1961.
- Woźniakowski J.**, Ze wspomnień o przyjacielu, „Tygodnik Powszechny”, 1947r., nr 9.
- Woźniakowski J.**, Ze wspomnień szczęściarza, Kraków 2008.
- Wyjątki ze wspomnień pamiętnikarskich **Józefa Horocha** [mps], Dostępne w Prywatnym Archiwum Rodziny Horodyńskich w Warszawie.
- Zbigniew Horodyński**, Listy, Dostępne w Prywatnym Archiwum Rodziny Horodyńskich w Warszawie.
- Zbrodnia w Zbydniowie, „Tygodnik Polski”, Warszawa 14.04.1985 r., rok IV nr15(127).

Wszystkie fotografie wykorzystane w pracy pochodzą z Prywatnego Archiwum Rodziny Horodyńskich w Warszawie. Udostępnione zostały przez Panią Teresę Ledóchowską-Horodyńską

Na stronie tytułowej „Ekslibris” Biblioteki Horodyńskich narysowany przez Zbigniewa Inia Horodyńskiego.